

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.  
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

Ś. p.

### Ks. Jerzy hr. Szembek.

Arcybiskup-metropolita mohylowski.



W Alwernii, majątku rodzinnym pod Krakowem zmarł ś. p. ks. arcybiskup Jerzy hr. Szembek, w pełni sił i lat męzkich, nabawiwszy się tyfusu w czasie pogrzebu Antoniego ks. Radziwiłła. Zgon dostojnika Kościoła był nieoczekiwany i okrył żalobą licznych dyccezyan.

J. E. ks. Jerzy hr. Szembek przyszedł na świat d. 14-go Czerwca 1851-go r. w Ujściu na Podolu, jako trzeci syn ś. p. hr. Józefa i Józefy z hr. Moszyńskich. Ukończywszy gimnazjum św. Anny w Krakowie, wyższe studia odbywał za granicą, wtajemniczając się w filozofię i prawo, poczem wiele podróżował, aż nakoniec powrócił do kraju z zamiarem osiedlenia się na Podolu i zarządzania rodowemi dobrami. Atoli przekroczywszy 40-sty rok życia, uczuł ś. p. ks. Szembek powołanie do stanu duchownego i wstąpił do seminarium w Saratowie, które w dwa lata chlubnie ukończył i otrzymał święcenia kapłańskie, a wkrótce potem stanowisko profesora.

W kilka lat później objął probostwo, a następnie dekanat saratowski. W ciągu 6-cio letniej swej tamże działalności zdołał pozyskać zaufanie swoich parafian i roztoczyć nad nimi wpływ dobroczynny. To też kiedy po śmierci ks. biskupa Nowodworskiego zawakowała godność biskupia w Płocku, Stolica Apostolska oceńając zasługi ś. p. Szembeka, powołała go na to stanowisko. Przekanonizowany w Kwietniu 1901-go roku, konsekrowany w Czerw-

cu, odbył ś. p. hr. Szembek ingres uroczysty do katedry i został 84-tym z rzędu biskupem płockim, a trzecim z rodziny Szembeków. Pamiątkowym czynem, jaki po sobie



Ks. Jerzy hr. Szembek, arcybiskup mohylowski.

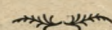
pozostawił, było gruntowne i stylowe odnowienie prastarej katedry. Oprócz zajęć związanych ze stanowiskiem, zmarły interesował się potrzebami ogólnymi, uregulował sprawę

spiewu kościelnego, porządku nabożeństw, stosunku władz i podwładnych w organizacji zarządów parafialnych. Za ledwie po dwóch latach swej bytności w Płocku w 1903-cim roku ś. p. Jerzy hr. Szembek wyniesiony został na archikatedrę mohylowską i przeniesiony do Petersburga. Po ogłoszeniu aktu tolerancji religijnej J.E. ks. Arcybiskup, po raz pierwszy od pół wieku urządził uroczysty objazd archidyccezyi. W Mińskiej dyccezyi ludność stęskniona za katolickim duchowieństwem zgotowała przybywającemu dostojnikowi Kościoła gorące przyjęcie. Ostatnie zarządzenie administracyjno-duchowne J. E. oparte było na Najwyższym Ukazie z dnia 30-go Kwietnia r. b., a dotyczyło polecenia wszystkim prefektom zakładów szkolnych w guberniach Mohylowskiej i Mińskiej wprowadzenia wykładów religii „w języku rodowitym uczniów.“

Śmierć ś. p. ks. Jerzego hr. Szembeka pogrążyła w żalobie wiele rodzin arystokratycznych z nim spokrewnionych i wyrządziła szczerbę Kościołowi przez ubytek jednostki, która mogła być długo jeszcze dzielnie i pożytecznie pracować na niwie społecznej i obywatelskiej.

Pogrzeb odbył się w Porębie Żegocie dnia 10-go b. m. przy licznych współudziale duchowieństwa, przybyłego ze wszęch stron kraju. Eksportację do kościoła celebrował ks. kardynał Puzyna w otoczeniu arcybiskupów, biskupów i kapłanów. Pochód otwierała dziatwa z ochrony wiejskiej, dalej postępowała straż ogniowa ochotnicza, bractwa, oby-

watele z wieńcem z Alwernii i duchowieństwo. Po odprawieniu Mszy i egzekwii zwłoki złożono do grobu pod kaplicą cmentarną.



# CHOROBY WIEKU.



## Nerwowość i Neurastenja.

Zajmującym jest określenie, z punktu widzenia ściśle naukowego, fizyologicznych i patologicznych rezultatów ogólnego i nieprzpartego dążenia do „coraz wyższej cywilizacji,” charakteryzującego dni nasze.

Niezaprzeczenie jesteśmy bardziej „nerwowymi” od naszych rodziców i niema nic w tej nerwowości dziwnego, ponieważ jest ona naturalnym następstwem moralnej i intelektualnej ewolucji ludzkości z biegiem wieków. Wiemy, że rodzice nasi byli bardziej „nerwowymi” od jeszcze dawniejszego pokolenia, lecz należy zbadać, czy ten postęp nerwowości nie jest szybszym i gwałtowniejszym, niż był dawniej.

Plaga nerwów dręcząca ludzkość stała się potężną i groźną dopiero w połowie XIX-go stulecia: do tej chwili życie społeczne było prawie równie spokojnym, jak w wieku poprzednim. Dzisiaj zmieniły się warunki, a kiedy myślimy o ówczesnych, z trudem przychodzi wierzyć, że niecała połowa wieku dzieli nas od owej epoki, która w danej chwili wydawała się bajeczną.

Faktem jest, że dzisiaj, pomimo postępu gimnastyki i higieny, pomimo mody willegiatury, wynagradzającej w granicach wrażliwości osłabiające warunki życia miejskiego, pomimo całego usiłowania i postępu walki rozumu z uczuciem, siła młodzieży obojej płci, tak z punktu widzenia fizycznego, jak moralnego, jest jedynie złudzeniem optycznym, znikającym przy najmniejszym zetknięciu z przeciwnościami codziennego życia.

Teoretycznie, posiadamy tysiące środków naukowych do zwalczania ujemnych skutków naszej przerafinowanej cywilizacji; nigdy może nie było równie dobrze, jak za dni naszych, sformułowanych elementarnych zasad fizycznego zdrowia, słusznie uważanego za podstawę zdrowego ducha. W praktyce jednak widzimy, że wszystkie warunki i wszystkie przyzwyczajenia nowoczesnego życia, prowadzą do fizycznego upadku ludzkiej rasy i, pomimo, że lepiej od naszych przodków znamy sposoby zbiorowej i indywidualnej prezerwatywy od niezliczonych czynników ruiny i przedwczesnej zagłady,—dążymy do tej ruiny i do tej zagłady z jakimś fatalizmem nieprzewidywanym, niepowetowanym.

W dzisiejszym stanie życia społecznego, wszystko wokół przyczynia się do przyspieszenia zużycia organizmu i do utrudnienia jego poprawy. Gorączkowa praca, do której życie dzisiejsze zmusza ludzką maszynę, wywołuje nieuniknioną, nadmierną wrażliwość wobec podniecających czynników: jak struna przeciągnięta, system nasz nerwowy drży przy najlżejszym podmuchu i w skutek tych drgań ciągle powtarzanych, zużywa się i pęka. Nie znajdując w krwi, będącej również w złych warunkach, potrzebnej siły odżywczej, prowadzi istnienie *viveursów*, żyjących życiem sztucznym, przyspieszającym koniec; szarpany bezustannie, skazany jest na stopniowy upadek, do którego dochodzi mniej lub więcej prędko, stosownie do stopnia indywidualnego oporu, przebywając dwa wielkie etapy: nadmiernej drażliwości i wzmagającej się atonii, której dłuższe lub krótsze trwanie jest kwestyą czasu i psychicznej reakcji.

Tej pierwszej nienormalnej działalności sy-

stemu nerwowego, dajemy wyraziste miano nerwowości, dokuczającej dzisiaj prawie wszystkim ludziom, nie wyłączając wieśniaków, dokuczającej w coraz bardziej silnym stopniu.

Zewnętrznym znamieniem ogólnej przemiany etnicznej, jest bez wątpienia stopniowe zmniejszanie się temperamentów wyłącznie sangwicznych, uplastycznionych w okrągłych twarzach, spotykanych wśród obrazów z przed wieku, twarzach, coraz rzadziej dzisiaj widzianych nie tylko w miastach, ale nawet po wsiach. Ogólnie biorąc, rysy delikatniejszą, cera bieleje, policzki wklęsają, włosy wypadają przedwcześnie, fizyognomie więcej wydłużone i mizerne, są ruchliwsze, wyrazistsze, teńjące niecierpliwą żądzą pospiechu, ujarzmiającą dzisiaj wszystkie niemal mózgi ludzkie.

Siłą rzeczy, szybkość reakcji mięśni, nie godząc się z ciągłością wysiłku, zmniejsza coraz bardziej zdolność do pracy stałej; ze swej strony to zmniejszenie uzdolnienia podnieca ludzi do pospiechu, do jakiejś szalonej gonitwy we wszystkich życiowych sprawach, jakby ta gonitwa była środkiem niezawodnym ułatwienia fizycznych trudów. Ztąd cecha powierzchowności i nietrwałości w płodach dzisiejszych, z których wszystkie, od najdrobniejszych wyrobów domowych, aż do gmachów olbrzymich, teńną usiłowaniem tymczasowości, podszeptującym najgenialniejsze sposoby wykonania, z tym rezultatem, że takie twory spiesznej, gwałtownej produkcji, nie zdołają nigdy przeciwstawić niszcącemu działaniu czasu, niewzruszonej mocy starożytnych arcydzieł sztuki i przemysłu.

Słowem, można powiedzieć, dominującą nutą w psychologii dni naszych jest niecierpliwłość w urzeczywistnieniu; poczęcie i wykonanie

## Ploteczki i Prawdy.

(FELJETON TYGODNIOWY).



(Od biedy nastrój... — Aptekarze płoszą poezję!... — Recepty i niewypłacalność. — Lekkomysłna niesumiennosc. — Kleopatra, Semiramis i nasza diva. — Nie umiemy nagradzać zasług...)

Duszą owładnął dziwnie słodki smutek. Poblążliwość, wielka, nieopłacona Poblążliwość położyła swe cudne, ambłą pachnące, pięknie wydłużone, dłonie na oczach...

By nie patrzyły na zło, którego tyle dookoła...

By nie mrużyły się przed promieniami słońca, które potoki swoje leje tam, gdzieby najmniej powinno...

By nie zalewały się łzami wobec ran bezliśnie ropiących, a niezawinionych...

By nie mętniały od zazdrości wobec mirażów rozkosznych, zawrotnych a nie do osiągnięcia...

By wreszcie nie zmagaly się z odległymi horyzontami, które uładną fatamorganę kłamając, na śmiercionośne trzęsawiska tak łatwo przywieść gotowe...

A taka, wszechprzebaczenie codzienne na

skrzydłach swoich niosąca Poblążliwość, gdy na czyich oczach położy swe różowo-przeświełające palce, przykra powszedniość i grudniasta rzeczywistość wnet powabnie różowić się poczyna i godzi nas na... całą taką chwilę z życiem! Na całą chwilę... Bo potem...

Ech... któżby tam myślał o potem!... *Eheu fugaces*... jak śpiewał Horacy, różami zdobiąc przetrzebioną z włosów głowę i filuternie ku gąsiorkom Falernu zezując...

Górami optymizm... Gdybyż on mógł być przewodnią nutą pieśni... wam śpiewanej... Czyście radzi?... Widzę niedowierzenie w źrenicach waszych. Nic to... Mimo to bestyi optymizmu za ogon pociągać nie przestanę. Bodaj na uciechę waszą!...

Smutek oto owładnął mną i nawet nie wiem, kędy mnie zawiedzie. Myśl w rytm łagodny korowód ciągnąc rozszerzony, z pamięci dobywa rym gdzieś posłyszany, rym giętki, śpiewny, nastrojem nieprzpartym brzemienny...

Ten rym śpiewa:

Zmęczone dusze znajdują odpocznienie  
I gdy już własna pieśń im będzie znana,  
Znajdą balsamy i znajdą promienie.  
I w łono własne poglądać przestana...  
I rozmodlone zegnają się kolano,  
Jak gdyby dusza pragnąca zbratania  
Z każdą istotą w łzach ukrzyżowaną —  
I chciała zdjąć ją z łez ukrzyżowania  
I dać jej kwiat spokoju

i kwiat miłowania...

Upajająca muzyka słowa unosząca się, jak opar nad głębią myśli... Chciałoby się w nią patrzeć, patrzeć bez końca, gdyby... Gdyby na świecie nie istnieli aptekarze!... Autor wyroków Przeznaczenia widocznie je wymyślił po to, by feljetonistom nastroje płoszyli z pod pióra. Znajomemu mojemu np. aptekarzowi udało się to w zupełności. Wpadł przed chwilą do mnie, jak huragan (i aptekarze ściganymi farysami być potrafią...) ażeby... się poskarżyć.

— Machnij-no tam gdzie, gdy będziesz mógł i o nas... Zazdroszczą wszyscy, że majątki same nam rosna... Nasze wagi w przyszłości weszły, a przecież nad inteligencją naszą jaki taki uragowisko sobie ucieszne czyni. Nasz los nie jest wcale taki różowy, jakby się zdawało. Zaglądają nam do kas, wytykają nam nasze „ośmset procent” zysku, który pobieramy, Harpagonami społeczności nas formalnie czynią. Przesady, bajki, legendy, faramuski i nic więcej. Nie te czasy... nie te już...

— Ej, czy tylko nie wzywasz Boga nadaremno? — perswaduję.

— Nie wzywam bynajmniej. Te „ośmset procent” to już niczem niepowrotna legenda. Zapewne, że się wciąż i na aptekarstwie zarabia, i to niezgorzej, lecz ile się traci!... Tego nikt obliczyć za nas nie chce. O jednej

objawiają się, jako dwa terminy niezależne i paradoksalnie jednolite. Błędne koło zacieśnia się coraz więcej; podczas, kiedy nerwowość podwaja gorączkę myśli, ze swej strony ta gorączka wzmacnia wrażliwość, tak, że prawie niepodobna określić znaczenia indywidualnego każdego z tych dwóch czynników z osobna.

Nadprodukcyjność komórek mózgowych musi wywoływać wielką ruchliwość reakcji w moralnych władzach; zaiste, w pewnych wypadkach tak niepokonana jest wrażliwość, że najzwyczajniejsze przeciwności życiowe, najdrobniejsze zawody, najłżejsze podrażnienie miłości własnej, czynią rozmiary cierpienia niemożliwymi do zniesienia: widzimy dzieciaków dochodzących do samobójstwa po otrzymaniu złego stopnia przy egzaminie. Tutaj także znajdujemy psychofizjologiczną przyczynę kryminalistyki małoletniej, dostarczającej bogatej materii kronice dziennikarskiej.

Różnorodnymi i poważnymi są patologiczne następstwa tej egzaltacji nerwowej, będącej, można powiedzieć, normalnym *modus vivendi*; przede wszystkim widocznymi są te następstwa w stałym i bolesnym rozwoju chorób umysłowych.

Zwykłym, pod pewnym względem obowiązującym wyrazem cierpienia, dokuczającego w mniejszym lub większym stopniu nam wszystkim, jest choroba zawiła i złożona, często źle określana, prawie zawsze źle leczona pod mianem, wynalezionym przez Amerykanina Bearda, przed 20-stu laty powszechnie zwana neurastenią.

Najdokładniejszą analizę tego stanu patologicznego uczynił we Francji, słynny Charcot,

który określił, rozklassyfikował i zidentyfikował rozmaite symptomy, maskujące do tej chwili prawdziwą indywidualność owej fantastycznej, kapryśnej choroby.

Mgły, pokrywające ją od wieków, pochodziły przede wszystkim z różnorodności wywołujących ją czynników, gdyż istotnie nie bardziej nieuchwytnego i sprzecznego, jak jej pochodzenie: newroza dziedziczna, nadmierne intelektualne zmęczenie, zmysłowość, zwapnienie naczyń, choroby żołądkowe, wychowanie moralne, przejścia, środowisko społeczne i t. d., i t. d.

Wobec nieskończonego szeregu sprowadzających ją przyczyn, dziwić się możemy, że neurastenii względnie tak mało jest rozpowszechniona, gdy poniekąd mogłaby być stałym następstwem każdej choroby organicznej, mogłaby liczyć tyle ofiar, ilu jest ludzi. Prawdopodobnie przy wzrastającym postępie tego stanu patologicznego ludzkość wkrótce dojdzie do takiego smutnego objawu, i należy przyznać, że my dzisiaj nie zaniedbujemy żadnego sposobu, przyspieszającego dopełnienie tej patologicznej jednolitości.

Możemy wszakże twierdzić, przynajmniej na razie, że pomimo różnorodności czynników, ofiarami neurastenii padają *jednostki usposobione*, to jest takie, które odziedziczyły ułomności nerwowe, czyniące ich organizm podatnym terenem do rozwoju choroby.

Nie należy zapominać, że ta dziedziczność daje *tylko* jednostce zdolność podlegania cierpieniu: nie stwarza bynajmniej bezpośrednio choroby i syn rodziców neurasteników mógłby z łatwością zrzucić jarzmo smutnej dziedziczności, gdyby zdołał wyzwolić się od wpływów zgubnych niegdyś dla jego rodziców. Najgorszym jednak jest to, że środo-

wisko, w którym wychowuje się i wzrasta, po większej części, daje mało nadziei ratunku.

Czynniki natury fizycznej, wywierałyby na organizm wpływ drugi pośredni, gdyby działalność ich nie była ułatwioną stanem moralnym jednostki. Żadna epoka nie przypisywała sobie z większą pychą od naszej, urzeczywistnienia *maximum* moralnego rozwoju człowieka: teoretyczne twierdzenie i nauka rzeczy rywalizują w wykazaniu poniżającego jarzma „przesądów“, a jedyny ideał zgodny z godnością ludzką, zdaje się być konkretnie wyrażony w tej formułce: „wolne obowiązki i nieprzejednane prawa natury.“

Zasady równie radykalne musiały wywołać w świecie moralnym rewolucję, podobną do tej, którą cywilizacyjne zdobycze sprowadziły w świecie fizycznym; bezpośrednie następstwa tej tendencji widzimy już przede wszystkim w postępowym zmniejszaniu się poszanowania dla władzy. Ci, którym ta władza służy — zarówno w życiu publicznym jak rodzinnym — nie śmiejąc i nie chcąc rozkazywać ani broń, nie mają żadnego kierowniczego wpływu na podwładnych; tym sposobem widzimy w rodzinach dzieci, przyzwyczajone do ślepej pobłażliwości otoczenia, do zadowolenia wszelkich kaprysów, dochodzące szybko do nieznoszenia żadnej przeciwności losowej, uważające za usiłowanie daremne, lub przechodzące siły, każdą walkę z najmniejszą przeszkodą lub trudem. Powodzenie, otrzymane bez wysiłku, pozbawia wolę naturalnej podniety, stopniowo wola upada, a mózg przy pierwszym starciu fizycznym czy moralnym otwiera wolny wstęp neurastenii.

Nie będziemy tutaj badać głównych symptomatów, zresztą powszechnie znanych, tej choroby, ani przedstawiać sposobów ich le-

takej, chronicznie nas trapiącej stracie, chcę pomówić...

— Słucham ciekawie...

— Recepty nam nasze obliczacie, na inkasowane przez nas cyfry łakomym spoglądacie wzrokiem. Ale nikt nie zastanowi się nad tem, czy też my wszystkie wygotowane i załatwione recepty istotnie realizujemy. Fakt do wiary niepodobny, ale aptekarz 25% zarobków traci (!), z powodu stałego kontyngensu lekarstw zrobionych, a... nieodebranych! Właściciel apteki jest wobec tego faktu bezsilnym. Klient wpadnie, zamówi lekarstwo, zostawi receptę, zabierze markę, ale nie zawsze się po zrobione istotnie zgłosi. Rezultat jest taki, że 25% nieodebranych lekarstw idzie na śmiecie, aptekarzowi przynosząc tem samem niepowetowaną stratę...

— Czemuż nie każecie sobie płacić z góry?... Zabezpieczyłoby to was przed niesumiennością klientów...

— Próbowaliśmy już. Ale zrobił się krzyk. Nazwano nas wyzyskiwaczami rozpaczy cudzej i daliśmy pokój. Sytuacja pozostała bez wyjścia na ten temat w dalszym ciągu.

— Nie sądzę...

— Więc twojem zdaniem?...

— Porozumieć się ze sobą i solidarnie zobowiązać tak długo nie przystępować do ro-

bienia lekarstwa, dopóki z góry zapłaconem nie zostanie...

— Racya... Jednak jeszcze i to nie zapobieży złemu. Raz np. wpadł do mnie jakiś wcale dostatnio ubrany jegomość i zażądał z miejsca zrobienia sobie za dwa ruble lekarstwa, oświadczając, że zapłaci „kiedyś później“, bo na razie nie ma pieniędzy. Kiedy na to zrobiłem zdziwione oczy, obrzucił mnie gradem obelg, wyrażając wielkie oburzenie z powodu mojej chciwości, jaką skazywałem go na śmierć w braku lekarstwa, na które nie miał pieniędzy. Przynajmniej na razie nie miał...

Tak biadał mój znajomy aptekarz i wiele w tem biadaniu było słuszności. W każdym razie świadczy ona niezbitcie, że t. zw. złote czasy aptekarstwa minęły bezpowrotnie, a także, że publiczność nasza tak często występuje z nieuzasadnionymi pretensjami, a co gorsza, bagatelizuje sobie wypadki, z powodu których inny człowiek pracy ponosi najniesłuszniej w świecie krzywdę.

Jeszcze co się aptekarzy tycze, możnaby twierdzić, iż boleść, na tle której bywają „wyzyskiwani“, znacznie stopień przestępstwa, którego padają ofiarą, zmniejsza. Ależ to fakt społecznie nie odosobniony. Biorę lekarza. Budzą go o godzinie drugiej w nocy do człowieka, który niebezpiecznie zachorował. Wy-

ciągają z łóżka, wiozą do domu chorego aż tu stróż przed bramą stojący oświadcza, że chory umarł tymczasem. Wówczas na przywiezionego lekarza patrzy się, jak na intruza, jeśli się w ogóle potem jeszcze nań patrzy, co gorsza jednak o wynagrodzeniu go za przerwany sen i tłuczenie się po nocy nikt „na razie“ nie myśli. Najgorsza zaś, że i potem nie myśli się wcale.

— Niepotrzebny już był, nie badał, nie opukiwał, więc na honorarium nie zasłużył. Któż zresztą temu winien, że pacjent zmarł przed jego przybyciem?...

Tak się rozumuje, gwałcąc w ten sposób najprymitywniejsze pojęcie o wynagradzaniu ludzkiej pracy, sił i kłopotów zawodu.

Lecz jak z aptekarzem, tak i w wypadku przytoczonym — jakież on jednak częsty — dużym motywem usprawiedliwiającym jest boleść, która na wiele rzeczy niesubtelnymi nas czyni.

Jednak weźmy architekta? Przychodzi doń pan X. raz i drugi, omawia projektowaną budowę, zabiera mu przy tej sposobności dużo drogiego czasu, nierzadko i kosztorys nawet, który przedstawia już zupełnie realną i kwotą dającą się oznaczyć wartość, poczem nie powiedziawszy mu nawet za to wszystko „Bóg zapłać“, już więcej do niego nie wraca. Pokrzywdzony w ten sposób, najczęściej mach-

czenia. Ograniczymy się na uwadze, że pod każdą postacią i w każdym stopniu neurastenii, sama przez się, nie skraca istnienia człowieka, będącego jej ofiarą, a chociaż dręczy niemiłosiernie, przedłuża nawet czasem życie, ponieważ neurastenik, lękając się wszystkiego, wystrzegając się wszystkiego, co szkodzić może, zaziębienia, nieregularności w jedzeniu, nadużyć każdego i t. d., unika zwykłych przyczyn chorób i śmierci więcej, aniżeli jednostka zdrowa, narażająca się nieostrożnie.

Jeżeli jednak, z tego punktu widzenia, neurastenia, nie gubi bezwzględnie, nie można zaprzeczyć, że na poziomie, na którym znajduje się obecnie, stała się prawdziwą plagą ludzkości. Biorąc pod uwagę szalony pochód cywilizacji, trudno bez przerażenia patrzeć na nieprzerwany wzrost wrażliwości dokuczającej ogólnie tak żywo, i ci wszyscy, którym nieobojętne dobro ludzkości, powinni podać sobie ręce i wspólnymi siłami dążyć, jeżeli nie do usunięcia tej plagi, to przynajmniej do ograniczenia jej rozwoju.

Ze względu na różnorodne przyczyny, wywołujące chorobę, zadanie może być tylko rozwiązane usiłowaniem ogólnem racjonalnem i stałem; przedewszystkiem należy pamiętać, że zasadniczą podstawą tego zadania jest poszukiwanie i apostołowanie spokoju i umiarkowania w każdym wypadku.

Zresztą nie w arsenale praw gniotących, surowych, należy szukać środków zaradzenia temu zбочeniu psycho-patologicznemu, doprowadzonemu dzisiaj do tak wysokiego stopnia naprężenia; urządzane z głośnym hałasem stowarzyszenia i ligi byłyby także nie na miejscu. To, czego tutaj potrzeba, jest dziełem, któreby można nazwać „usiłowaniem uzasadnionego przeświadczenia,“ usiłowaniem przekonywania *ad hominem*, wzmacnianem

przykładem, rozpowszechnianem konferencyami, prasą. Niepodobna, a nawet nie potrzeba zakreślać szczegółowego programu takiej działalności: hasłem tej zbawiennej krucjaty powinno być: „ogólna praca z inicjatywą indywidualną.“ Trzeba przy każdej sposobności wykazywać bezpośrednio niebezpieczeństwo i następstwa zgubne nadmiaru zmęczenia intelektualnego, lecz z kądną potrzebą także przeciwstawić ostrym krytykom sekcjary i utopistów, zdrowe doktryny fizyologicznej konieczności dobrze unormowanej pracy i potrzeba nalegać na dobroczynne skutki życia wiejskiego, spokoju, a nadewszystko panowania nad sobą.

Tłóm. Władysława Zarembina.



Marya Rodziewiczówna.

## Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ



(Ciąg dalszy).

W parę dni potem, wracając dość późno od siostry, spotkał znowu na ulicy kobietę-włóczęgę.

Tym razem zatrzymał ją i zaczął pierwszy.

— Słuchaj-no, nie pozowałaś nigdy malarzom?

— Nie, zanadto chuda i czarna!

— No to przyjdź jutro do mnie. Masz tu adres, jeśli mi będziesz odpowiednią, to dam ci rubla za godzinę pozowania. Dobrze?

— Nie wiem, jeśli się namyszę, to przyjdę w południe,— odparła bez zapału, apatycznie, prawie niechętnie.

— Jeśli jutro nie przyjdiesz, to wezmę inną.

Ruszyła ramionami lekceważąco i skreśliła w boczną ulicę. Nie spodziewał się, że przyjdzie, i prawie się zdziwił, gdy nazajutrz zjawiła się w pracowni.

Była jak zwykle ubrana jaskrawo, w lichą tandetę i dygotała z zimna. Przy świetle dziennem wydała mu się jeszcze chudsza, zniszczona, i z jakimś złowieszczym wyrazem zapadłych oczu.

Zrozumiała wrażenie jego twarzy i rzekła:

— A co? Po dniu to na modelkę nikt mnie nie weźmie. Na darmom tyle drogi szła.

— Daleko mieszkasz?

— No jużci, że nie w Alejach na pierwszym piętrze od frontu! Odpocznę trochę i ogrzeję się!

Podeszła do pieca i przygarnęła się do niego z widocznym, zwierzęcym zadowoleniem. Potem powiodła oczyma po pokoju i zatrzymała wzrok na zastawie stołowej. Brzechwa zajęty tego dnia robotą, kazał sobie przynieść śniadanie od siostry, i jadł właśnie, gdy ona przyszła.

— Zdejm kapelusz i żakiet! — rzekł.

Nie zdawała się słyszeć, patrzała uparcie na jedzenie.

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Ja? — ocknęła się i pomyślała — Wójtówna, czy jakoś tak! — rzuciła niedbale.

— Sama mieszkasz?

— Et — takie badanie, jak w cyrkule. Co tam ciekawego. Przyszłam pozować, a nie chcesz, to mi daj za kurs, to sobie pójdę.

— Zdejmże żakiet i kapelusz! — zawołał niecierpliwie.

Spełniła żądanie i ukazała się w wytartej

nie ręką, daje upaść sprawie i wypadek przechodzi bezkarnie. My tak łatwo wyzyskujemy w życiu wypadki bezkarności...

Z adwokatem już np. w ten sposób nie postąpimy, bo wiemy, że ten nie daruje swego i zwykle swoje odbierze. Może sprawy mu nie powierzymy, ale za każde pół godziny odbytej z nim przedtem konferencji, zapłacimy co do grosza. Zapłacimy mu nie dlatego, że odczuwamy „moralną“ tego potrzebę, ale w tej myśli, że człowiek ten będzie umiał wywalczyć należne mu wynagrodzenie...

Publiczność bowiem specjalnie warszawska, tak nie wiele ma w sobie poczucia sprawiedliwości wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi trud innych, siły, straty niepowetowane. Wyzyskamy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, kassjera, sprzedającego bilety w kassie, zabierając mu nieraz trzy i pięć razy więcej czasu, niżby wystarczyło na załatwienie naszego zakupu, wyzyskujemy czas urzędnika, zaprzatając jego uwagę w podobny sposób nieraz najnieprodukcyjniej w świecie. Nie czynimy tego z pobudek, tych najgorszych, z chęci wyzysku, z chęci czynienia komuś krzywdy. Robimy tak, bo mało się zwraca uwagi na takie rzeczy — i takich rzeczy konsekwencje ekonomiczne — co gorsza, że nie

staramy się o tem rozsądniej myśleć i takie objawy społeczne właściwie oświeć.

Oto powody, dla których aż tyle dotąd o tem...

W dużym związku z tem pozostaje na upartego afera, której tytuł sensacyjny: „Pałacyk artystki.“ Na łamy pism codziennych tylko głuche jej przedostały się echa wraz z akompaniamentem swędu piorunów, które grzmiały za kulisami teatryku „Nowości.“ O „pałacyk“ poszło, o taki „pałacyk“, co do którego diva operetkowa chciała, aby był, a jej koleżanki znowu, żeby nie był. Takie dwa sprzeczne prądy na morzu teatralnem muszą wywołać burzę. I wywołały.

A tło?... Mogła mieć Semiramis, ogrody wiszące, Kleopatra słodkie labirynty, pani Pompadour wille zaczarowane i jakby z bajki wysnione, czemużby nie miała mieć i diva operetkowa willi w Konstancinie, wzniesionej „składkami narodu?“... Przedsiębiorcy, pojedynczo biorąc, mieli *gratis* wstawić w niej piece, otapetować, oparkanie, w zieleń przybrać, naród ogółem miał złożyć cegiełki. Zaczęto je zbierać systemem albumu pamiątkowego z podpisami, gdzie się dało: u siebie, na kolejce, na sali „Bristolu.“ Rzecz szła jaknajpomyślniej, gdyby.. nie wdały się w to

koleżanki, zazdroszczące artystce pomysowości w naciąganiu „narodu“ i pomyślnego biegu całej akcji. Wysadzono z miejsca „komisję moralności,“ ułożono protest, zbrojny podpisami samych przeważnie Westalek i dalej nim walić, jak taranem w jeszcze niezbudowany pałacyk. Naturalnie nie wytrzymał i runął. Powstał kurz, zamęt, jęki, przekleństwa, wszystko w tonie przesadnie operetkowym...

Ostatecznie pałacyk nie stanął.. Rozwiązał się we mgle. Jeszcześmy nie doróśli do zadań składkowego wznoszenia „Oblęgorków“ dla zasłużonych „div“ operetkowych. Szkoda. Każdy talent winien być nagradzany, nawet w umiejętnościach kankanowych...

Gdyby „pałacyk“ ów stanął istotnie, byłby widomym obeliskiem operetkowego traktowania operetki na seryo. Taki pomnik świadczyłby wiekom, żeśmy umieli cenić i nagradzać talenty, zaczawszy od Kurzawy, a skończywszy na bohaterce z ulicy Daniłowiczowskiej.

Parol.

bluzce czerwonej, widocznie nie na nią robionej.

Zapatrzył się na nią badawczo, podszedł, dotknął włosów, przechylił głowę, znowu patrzył, wreszcie zawołał krótko: „Chodź” — i wprowadził ją do pracowni.

Tam ją ustawił we właściwej pozie i świetle i usiadłszy naprzeciw, zaczął szkicować. Oczy jego przechodziły z niej na płótno, skupione, pochłonięte myślą. Po chwili zaczął poświstywać przez zęby polkę z „Ptasznika.”

Kobieta stała nieruchomo czas jakiś, potem poczęła drzeć, podniosła rękę, przetarła oczy, znowu starała się wytrzymać pozę — wreszcie zatoczyła się i osunęła na jakiś stołek.

— No, co ci. Nie możesz wytrwać godziny! — zawołał niecierpliwie.

— Zaraz mi odejdziesz. Zamroczyło, — rzekła słabo, ocierając pot z czoła.

Ale bladła coraz bardziej, chwiała się, zamykała oczy. Poszedł do jadalni i przyniósł jej co znalazł pod ręką, szklanek piwa. Wypiła chciwie i po chwili dzwignęła się.

— No — już mocniej! — rzekła, stając w poprzedniej pozie. Dobrze jest zjeść, albo wypić cokolwiek.

— Możesz ty głodna?

— No, a co myślisz? — zaśmiała się. — Nie zarobiłam od wczoraj nic, to i nie jadłam. U nas tak.

— Zjedz-że, dlaczegoś nie powiedziała?

— Eee — dotrwam i tak. Daj jeszcze piwa, będzie mi dosyć; jakbym zjadła, tobym w cieple wnet zasnęła. Ale jeśli mi dasz, co tam na stole zostało, to zabiorę, wychodząc do domu.

— Masz rodzinę?

Ruszyła milcząc ramionami tylko i wypiła piwo.

Wziął się znowu do roboty, ale już nie gwizdał. Zaciekawiała go tą jakąś dziką zawziętością i skrytością. Prędko skończył szkic.

— No, dosyć na dzisiaj. Przyjdiesz jutro?

— Przyjdę. A ile dostanę?

— Mówiłem ci — rubla za godzinę.

— Dobrze, ale mi dziś daj pięć rubli z góry. Odrobie.

— Na co ci potrzebne? Na życie?

— Piesby tego życiem nie nazwał, ale tak się mówi.

— No, dam ci pięć rubli, ale mi daj swój adres, imię, i opowiedz, jakie to masz życie.

— Bardzoś głupi. Adres mogę dać fałszywy, a historię zelgać, jak mi się podoba. Nikomu nic do mojej historii, a adres to: Czerniakowska, 52 — Józef Siwiec.

— No, dobrze. Masz pięć rubli, a teraz zjedz i zabierz resztę śniadania.

Przeszli do jadalni, ale kobieta nie chciała nic tknąć z jadła. Zabrała wszystko w papier, otrzymane pięć rubli schowała za górsset, i ubrawszy się, prędko wyszła.

— Tyle ją będę i widział! — rzekł do siebie Brzechwa.

Ale przyszła nazajutrz akuratnie o dwunastej i wyglądała mniej wyczerpana.

Że był zajęty przy czemś innym, kazał jej się rozebrać i czekać. Usiadła przy piecu i po chwili zaczęła półgłosem mruzczyć jakąś piosenkę.

— Musiałaś dziś dobrze zjeść! — zaśmiała się.

— Wyspałam się za całe dwa ruble.

— Jaktó?

— Ano, dałam Józefowi, to sobie poszedł pić na całą noc, a ja już w domu nocowałam.

— No, a trzy ruble na co poszło?

— Długi popłaciłam.

— I nic nie zostało?

— A nic. Dziś już trzeba iść na robotę.

Skuliła się przy piecu i mruzczyła jakąś niewyraźną melodię, która zapewne była skoczna, ale w jej wykonaniu miała coś okropnie rozpaczego.

— To z tym Józefem mieszkasz?

Skinęła głową nie przestając śpiewać.

— Dawno?

Podniosła oczy i wlepiła je w jakiś jeden punkt.

— Dawno, dawno, długo! — wymówiła w jakimś osłupieniu.

Potem się zerwała, poczęła oglądać pracownię, dotykać makat i sprzętów, spojrzała też na swój wczorajszy szkic i zaśmiała się.

— Ot — i mój portret będzie na świetle, jak takich, co jeżdżą na gumach i mają brylanty!

— No, a ty się nie spodziewasz zrobić kariery?

— Ja? Ze mnie już nic nie będzie. Ja tak ciągnę, ciągnę, jak szkapa w jednokonce; kiedyś padnę i hycel uprzątne.

— Po cóż więc tak żyjesz, jeśli cię to nie bawi?

— A to pan myśli, że ludzie często robią to, co lubią, takie ludzie, jak ja! To niech pan spyta psa, co w śmietniku ryje, czy nie wolałby na półmisku polędwicy z garniturem. Grzebie się w śmietniku, bo to człowiek pluje i klnie, a zdechnąć z głodu nie chce.

— Przecie musiałaś mieć rodzinę i robotę przedtem?

— Każdy umarły przedtem żywy był — to i co mu z tego! Et, zawraca mi pan głowę, najlepiej to nie myśleć, bo i co to pomoże. Co było — to się nie wróci, co jest — to i bez myślenia pamiętne, a co będzie — to ochoty nie doda, żeby nad tem rozmyślać. Żeby człowiek mógł być ciągle pijany, albo ciągle spać! Czy pan mi dziś każe pozować?

— Żle ci tak siedzieć?

— Zle nie zle, ale wolałabym odrabiać dług.

— To go odrabiasz w każdym razie. No — zaczynamy. Zdejmiesz dziś bluzkę, udrapuję ciebie w tę płachtę. Koszulę spuść do pasa.

Posłusznie rozebrała się, wtedy ujrzał, że koszuli nie miała wcale, a na plecach parę sinych szram. To ciało wynędzniałe, chude, wzbudziło w nim wstręt estetyczny i litość. Ale było jako studium głodu świetne, zaczął szkicować pilnie, potem wziął się do podmalówki.

— Zkąd masz te pręgi na plecach? — spytał.

— Ah, jeszcze są! — zrobiła ruch, jakby osłonić się chciała, ale machnęła ręką i zaśmiała się.

— Zamałuj je pan na zielono.

— A koszulę też zamałować na zielono?

Zaśmiała się i on.

— Śmieszna ja, prawda? Bo to mój ojciec był murzyn, a matka biała — z tego ja jestem w paski i koszuli nie potrzebuję, bo w Afryce ciepło!

— No i zapewne z tej racyi murzyńskiego pochodzenia jesteś czyjaś niewolnicą?

— A jakże — tak wypadła!

Spojrzał jej w oczy badawczo. Bezdenna, czarna, ponura była głąb tych źrenic.

— Biednaś ty! — rzekł poważnie.

Odwrociła oczy i zadrgały jej wargi, ale w tej chwili już się śmiała.

— Nie — ja Kaśka Wójtówna.

I zaspiewała półgłosem:

A jam z puszczy Janówna,

A do tego Wójtówna.

— Co to za piosnka?

— Ot, taka chłopska. Stróżka jedna mnie nauczyła. Wesoła ona? co?

— Bardzo — tak, jak i ty wesoła dziewczyna!

— Co też ludzie wszystkie do mnie się uzięli! Śmieję się i śpiewam, a każdy mi dogaduje, że nie wesoła. Licho wie, jak wam dogodzić! Taką już mam gębę nieszczęśliwą! Przez to i mało zarabiam — nie dogodzić ludziom.

— Nie oszukać ludzi! — poprawił ją. — Słuchaj, umiesz ty cokolwiek szyć, pracować, cerować?

— Ach, pan mi chce niby dopomódz? Ii — próżne zawracanie głowy! Nie do szycia mi, ni do cnoty pora.

— Jak chcesz. Nie miałem zamiaru dać ci cnoty, ale jak kto nie ma koszuli, chleba, a sine pręgi na plecach, tom myślał, że będzie wolał inne zajęcie.

— Nie długobym się cieszyła tą koszulą i chlebem. Nie kij na plecach, a majcherek pod żebrami bym poczuła — a ja żyć muszę! Ot, żeby mi pan dał piwa czy wódki — to mi więcej nic nie potrzeba.

Dał za wygraną nieprodukcyjnej litości i przestał o niej myśleć, jako o istocie ludzkiej. Napoił ją piwem i malował — po godzinie odprawił, i prawie byłby rad, żeby nie chciała odrobić owych pięciu rubli. Ale przyszła nazajutrz. Był już znudzony i niecierpliwiony, bo spotkał rano Maniusię na wystawie i był nią żywo zajęty.

Gdy ulicznica weszła, nie ukrywał swej niechęci.

— Słuchajno — rzekł, — już mi nie jesteś potrzebna, możesz sobie iść i nie wracać więcej!

— No, a jakże będzie, że mi pan dał z góry za pięć godzin? — rzekła, jakby spotkał ją ciężki zawód.

— To ci je daruję — i masz tu jeszcze trzy ruble.

Zapałały jej oczy, odtrąciła jego rękę z datkiem.

— Anim ja żebraczka, ani złodziejka; winnam panu trzy ruble, to je odniosę. No, pewnie moje ciało nie na model dla malarza, to pan mnie brakuje. Dziękuję i za to. Tak tu czysto, syto i ciepło — to wiadomo, że nie dla mnie.

— Chodź, zjedz i ogrzej się! — rzekł zdjęty litością.

— I — nie trzeba mi. Adju panu!

I wyszła prędko. Było mu na chwilę przykro, ale tylko chwilę, potem rozłożył się wygodnie i paląc papierosy, rozmyślał o swej „Dogaresie,” jak stale Maniusię nazywał. Epizod był na najlepszej drodze, wszystkie fazy Brzechwa już naprzód odgadywał, obra-

chował nawet postępowe terminy, wiedział kiedy Manusia ulegnie; znał bo znakomicie taką kategorię kobiet znudzonych, ciekawych, żądnych wrażeń, próżnujących w dostatku.

— Wyjadę ztąd po Wielkanocy! — zdecydował, biorąc się po długim rozmyślaniu do malowania.

Minęło parę tygodni. Brzechwa bywał w świecie, żył z kolegami, bawił się po knajpach, tylko nie przyjmował nikogo w pracowni, nawet służby siostry nie dopuszczał do sprzątnięcia i zerwał drut od dzwonka. Przychodził tam zwykle późno w nocy, rano wychodził do siostry, potem wracał i bawił kilka godzin do obiadu, który najczęściej spożywał w restauracji.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## W godzinie ciszy.



### I.

Podniebną drogą płynie ptak  
W bezgwiazdną otchłań przyszłych dni,  
Przez złoty, cichy słońca szlak,  
Przez życia ból, przez życia sny.

O ptaku mój, lecący w żar  
Wschodzących słońce, gasnących zórz,  
W zawrotny, błędny szczytów czar,  
Ty dołę, dołę moją wróż!

O ptaku mój, bezbrzeżna dal,  
Oblędnych, wielkich, smutnych dusz  
Przed tobą lśni z jej cichych fal,  
Ty dołę — dołę moją wróż!...

O ptaku mój — z obłocznych gór,  
Tu do mnie nieś wieszczanie — sen,  
Z purpury gromów — z słońca — z chmur,  
Niech mi się iści bytu cud.

O ptaku mój — niechaj cud ten  
Na białych skrzydłach spłynie tu,  
Rozświećli krwawą serca kruz,  
Zwiastowań szept przyniesie mu.

O ptaku mój — z zawrotnych dróg,  
Z bezgwiazdnej ciemni przyszłych dni,  
Z przeciwnych smutnych ziemi zórz  
Ty dołę, dołę moją wróż!...

### II.

O święta ciszo letnich nocy  
Wonią jaśminów przepelniona,  
O niezgłębiona ducha mocy  
W prześwięte Znicze rozploniona.

Perłowy zmierzchu — cichy świecie,  
Owity w fioletowe mgły —  
Akacy, róży senne kwiecie,  
O ludzkie żale — ludzkie sny.

Za dużo dla was blasku, kwiatów,  
Za dużo dyamentowych śnień,  
Za dużo marzeń złotych światów,  
Namiętnych, słodkich wiosny technień.

Pożarne luną słońca szczyty,  
Spowite w przeogromny blask,

O wy bezbrzeżne mórz błękity,  
O świecie cudów, świecie łask.

O wieszczcie mi, o wieszczcie mi  
Ziszczenie marzeń, przedświt zórz,  
Powiedzcie: „To, co duch Twój śni  
Z bezbrzeżnej ciszy idzie już!”

Zofia Masłakiewicz.



G. FLAUBERT.

## LEGENDA O ŚWIĘTYM JULIANIE GOŚCINNYM.

(„La Légende de St. Julien l'Hospitalier“).

tlóm. M. Pankiewiczówna.



(Dokończenie).

### III.

Żebrząc po drodze, poszedł Julian w świat szeroki.

Wyciągał rękę do jeźdźców na gościńcu, z pokłonem podchodził do żniwiarzy w polu, to znowu stawał u wrót podwórców, a lica miał tak pełne smutku, że prawie nigdy nie odmawiano mu jałmużny.

Dla upokorzenia się, rozповідаł wszystkim historię swego życia; słuchacze, żegnając się z trwogi, uciekali. Gdy zjawiał się we wsiach, gdzie go już znano, wszystkie drzwi zamykały się przed nim, a groźby i kamienie sypały się zewsząd. Miłosierniejsi wystawiali misy z jadłem za okno, poczem przymykali okiennice, by nie patrzeć na Juliana.

Odpychany przez ludzi, unikał ich. Żywił się korzonkami, roślinami, opadłymi owocami, lub szukał muszli na morskiem wybrzeżu.

Czasem na skrócie drogi spostrzegał w oddali zbiorowisko skupionych dachów, kamiennych wieżyc i mostów, labirynt ciemnych uliczek, z kądem dochodził zgiełk bezustanny.

Chęć brania udziału w społecznym życiu ludzi, skłaniała go do zstąpienia ku miastu. Lecz rozbawiony wyraz ludzkich twarzy, stukot warsztatów i powszedniość rozmów mroziły mu serce. W dniu świątecznym, gdy od rana samego wesołe dzwonienie z katedr napełniało radością lud cały, przyglądał się Julian mieszczanom, wychodzącym z domów, fontanom piwa tryskającym u przecznicy; oglądał jedwabne opony przed pałacami możnych, a wieczorem przez szyby parterowych mieszkań widział długie nakryte stoły, przy których ucztowały całe rodziny, a wnuki igrały u kolan dziadków. Na taki widok, wstrząsany łkaniem uciekał Julian na pola.

Z lubością przyglądał się na pastwiskach miłosnym zabiegom żrebców, ptaszętom, ściełającym gniazda, owadom gonącym się wśród kwiatów. Wszystko jednak za zbliżeniem się Juliana przerażone uciekało, chowało się, ukrywało.

Począł szukać samotności, lecz w wyciu wichru słyszał rżenie konających, w spadających na ziemię łzach rosy wyczuwał inne zupełnie, daleko cięższe krople. Słońce co wie-

czór oblewało krwią obłoki, a co noc we śnie odnawiała się scena morderstwa.

Nosił włosienicę z żelaznemi kolcami; na kolanach wczolgiwał się na wszystkie góry, gdzie tylko jaka wznosiła się kaplica. Mimo to myśli bezlitosne zaćmiewały mu blask ołtarzy i dręczyły więcej, niż zadawane sobie umartwienia.

Nie powstawał jednak przeciw Bogu, który zesłał nań ten czyn, — żałował tylko, że go dopełnił.

Stał się sam dla siebie tak wstrętnym, że w nadziei postradania życia wystawiał je bez ustanku na największe niebezpieczeństwa. Wynosił z ognia paralityków, ratował dzieci z wodnych przestrzeni: głębia go wyrzucała, ogień się nie imał.

Czas nie goił cierpień; stawały się wprost nie do zniesienia i Julian postanowił umrzeć.

Pewnego dnia, nachyliwszy się nad studnią, by zmierzyć okiem jej głębokość, ujrzał Julian przed sobą wychudłą twarz starca z siwą brodą i z tak smutnem wejrzeniem, że nie był w stanie na widok ten wstrzymać się od łez. Tamten płakał również. Nie poznając własnej swej twarzy, Julian nie jasno przypominał sobie inną o podobnych rysach. Krzyk wydarł mu się z piersi: „To ojciec...” i myśl o samobójstwie odstała Juliana.

Pod brzemieniem ciężaru wspomnień przebiegł wiele krain; przyszedł nakoniec nad wielką rzekę, przez którą przeprawa była niezmiernie utrudniona z powodu ogromnej szerokości jej, rwącego prądu i błotnistych wybrzeży. Oddawna nikt już nie odważał się tędy przeprować.

Z trzciny sterczał dziób starej barki, na poły wrosłej w piasek. Znalazł w niej Julian parę wiosel i przyszła mu myśl poświęcić istnienie własne niesieniu pomocy bliźnim.

Na początek ułożył na wybrzeżu coś nakształt brukowanej ścieżki, pozwalającej dojść aż do rzecznej łachy. Paznogie łamał sobie, poruszając z miejsca olbrzymie głazy. Na piersiach własnych przenosił je, ślizgając się po błocie, przyczem nie mało razy śmierć mu groziła.

Potem przy pomocy szczątków rozbitych okrętów naprawił łódź, a z pni drzewnych i gliny sklecił sobie lepiankę.

Gdy rozeszła się wieść o przewoźniku, podróży nie zabrakło. Z przeciwległego brzegu dawano mu znaki chorągwiemi. Julian czekał już z łodzią. Bywała ona bardzo ciężka, ładowano bowiem na nią wszelkiego rodzaju bagaż, nie licząc koni, które rzucając się ze strachu, zwiększały jeszcze ciasnotę. Za trud swój nie pobierał Julian żadnej płacy. Niektórzy darzyli go dobytymi z troków resztkami żywności, lub znoszonemi szatami prawie nie do użytku. Inni w nagrodę za poniesiony trud kleli nań po grubijańsku; ze słodyczą strofował ich Julian: odpowiadali na to nowemi przekleństwami.

Stolik, zydel, posłanie z zeschniętych liści — stanowiły całe umeblowanie lepianki. Zamiast okien miała ona w ścianach dwie dziury. Z jednej strony, jak daleko sięgnąć okiem słały się bezpłodne równiny, poprzecinane gdzieniegdzie bladymi stawami; z drugiej toczyła wielka rzeka swe zielonkawe fale. O wiosnie zwilgotniała ziemia wydawała woń zgni-

lizny. Później niesforne wichry wzbijały tumany kurzu, który wciskał się wszędzie, zanieczyszczał wodę, trzeszczał w zębach. Później jeszcze zjawiały się chmary mustyków, brzęczących i tnących dzień i noc. Nadchodziły wreszcie dotkliwie mrozy, obracające wszystko w kamień i wzbudzające szaloną chęć jedzenia mięsa.

Upływały miesiące, a nikt nie przechodził. Często przemykał Julian powieki, próbując powrócić myślą w czasy młodości; widział podwórze zamku, u ganku psy myśliwskie, giermków w sali rycerskiej, a pod baldachimem z winnych liści, pomiędzy starcem we wspaniałym futrze, a odzianą w purpurę niewiastą, jasnowłosego młodziana. Nagle zniknęło widzenie; zjawiały się dwa trupy. Julian rzucał się na łożo, i wołając z płaczem: „Ojczel! Matko!“ zapadał w sen ciężki, wśród którego nie przestawały go dręczyć ponure obrazy.

Raz w nocy podczas snu zdało mu się, że go ktoś woła. Nastawił ucha, lecz ryk fal jedynie rozróżnić było można.

Wołano znowu:

— Julianie!

Głos szedł z przeciwnego brzegu, co wobec wielkiej szerokości rzeki wydało się Juliano wi niezwykłym.

Po raz trzeci usłyszał:

— Julianie!

a głos brzmiał pełnią kościelnego dzwonu.

Zaświeciwszy latarkę, wyszedł Julian z lepianki. Cieniami nocy szarpał wiatr szalony, głęboką ciemność rozdzierała chwilami biel uderzających bałwanów.

Po krótkim wahaniu odwiązał Julian łódź. Zaledwie to uczynił, fale legły spokojnie, barwa ześliznęła się po nich i dotknęła drugiego brzegu, gdzie oczekiwał jakiś mąż.

Okryty był on łachmanami, twarz miał podobną do maski gipsowej, a wśród niej dwoje oczu, jak węgle, żarzyło się szkarłatnym ogniem. Przybliżywszy latarkę, spostrzegł Julian, że ohydny trąd pokrywał ciało nieznanego, mimo to postawa jego pełna była majestatu królewskiego.

Gdy wstąpił do barki, ta pod jego ciężarem zanurzyła się głęboko. Julian jednym ruchem łódź wyprostował i jał wiosłować.

Po każdym uderzeniu wiosłem powrotna fala unosiła do góry przód łodzi; z obu jej boków płynęła gwałtownie czarna, jak atrament woda. Otwierały się czeluście, wyrastały góry, a łódź wspinała się na nie, to znowu staczała w dół i okręcała w miejscu pod naporem wichru.

Julian zginał się, przeżył ramiona, by pracować z większą siłą, opierał się nogami i przeginał całe ciało. Grad bił go po rękach, za kark mu się lało, pęd wiatru oddech mu tamował. Była chwila, że ustał w pracy. Łódź porwały fale. Tu jednak, czując czyjąś wolę ważną nadewszystko i niedopuszczającą opieszałości, wziął się Julian znowu do wiosel i odgłosy ich uderzeń przerwały wiecie burzy.

Na przodzie łodzi tliła się latarka; przelatujące ptaki zasłaniały ją co chwila, lecz i w ciemności widział Julian bez przerwy

oczy Trędowatego, stojącego w tyle nieruchomości, jak słup.

I trwało to długo, bardzo długo...

Gdy przybyli do lepianki, przymknął Julian drzwi. Trędowaty siedział już na zydlu. Rodzaj całunu, jaki miał na sobie, opadł mu na biodra, odsłaniając plecy, piersi i chude ręce, pokryte zeskorupiałymi wrzodami; czoło miał poorane głębokimi zmarszczkami, zamiast nosa dziurę, jak kościotrup, a z posiniąłych warg dobywał się oddech gęsty, jak mgła, a smrodliwy.

— Łaknę! — rzekł.

Julian dał mu, co miał: kawał starej słoniny i skórę czarnego chleba.

Gdy je przybysz pochłonał, stół, misa i trzonek noża nosiły już te same plamy, jakie miał na ciele.

Potem rzekł:

— Pragnę!

Julian poszedł po dzban, a gdy wziął go do ręki, bijąca z niego woń rozradowała mu serce. Wino! Co za szczęście!

Lecz Trędowaty wyciągnął dłoń i jednym haustem dzban wychylił.

I rzekł:

— Zimno mi:

Julian rozpałił na środku lepianki wiązkę suchych paproci.

Trędowaty podszedł do ognia, by się rozgrzać i przykucał przy nim; wszystkie członki drżały mu z osłabienia; oczy straciły blask, z ran mu ciekło, — i głosem prawie niedosłyszalnym szepnął:

— Twe łożo...

Julian pomógł mu troskliwie dowlec się do posłania, a nawet dla ciepła okrył go żaglem ze swego statku.

Trędowaty jęczał głośno; kąciki ust osunęły się i odsłoniły zęby, przyspieszone rżenie wstrząsało mu pierś, a za każdym oddechem brzuch głęboko się zapadał.

Przymknął oczy.

— Po kościach mróz mi chodzi. Ogrzej mnie!

Julian wsunął się pod płótno i legł na posłaniu z liści tuż obok gościa.

Trędowaty zwrócił ku niemu głowę:

— Rozbierz się, bym ciepłem twego ciała mógł się ogrzać!

Julian zdjął szaty i nagi, jak w dniu, gdy go matka na świat wydała, wrócił do łoża, udem dotykał ciała Trędowatego, a było ono zimne, jak łuska węża, a szorstkie, jak pilnik.

Usiłował podtrzymać w gościu ducha. Trędowaty szeptał dysząc ciężko:

— Umieram. Przysuń się do mnie bliżej.

Nie tylko rękoma, lecz całym ciałem mnie ogrzej!

Julian przytulił się doń zupełnie, usta do ust, pierś do piersi przycisnął.

I oto Trędowaty objął go w uścisku, a oczy zajaśniały mu nagle, jak gwiazdy, włosy wydłużyły się w promienie słońca, a oddech nabrał woni róż. Z ogniska buchnął kłęb kadzidła, fale rzeki spiewały. A omdlałą duszę Juliana ogarnął nadmiar rozkoszy i radość nadludzka przepełniła mu serce. Ten, w którego spoczywał objęciach, rósł, olbrzymiał, głową i stopami dotykał ścian lepianki. Dach jej uleciał, odsłaniając sklepienie niebios, i wstąpił Julian w błękitne przestworza twa-

rzę w twarz z Panem naszym Jezusem Chrystusem, który na rękach własnych uniósł go do nieba.

Oto historia św. Juliana Gościnnego, tak jak ją wyczytałem z kościelnych witraży w mej rodzinnej wiosce.



## HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Podobne sposoby traktowania miłości odejmowały jej całą realną żywotność, czyniły ją kwiatem barwnym, lecz suchym i bezwonnym; ale dodatnią stroną prerafinowania w tym kierunku było hamowanie grubszych popędów i wprowadzanie do sfery uczucia pewnej dezynfekcji moralnej. I często takich, których od deprawacji nie powstrzymałyby zasady, powstrzymywała moda, potępiająca brutalność instynktów, jako „suprême mauvais goût.“

Sztuczność i zmanierowanie nie panowały jedynie tylko w sprawach sercowych, — wszystko było niemi przesiąknięte. O wszystkiem też wyrażano się w taki sposób, że osoby mniej ściśle z kółkiem wykwintniś zbliżone, nie będące stałymi bywalcami pałacu Rambouillet, prowadzonych tam rozmów prawie nie rozumiały. Oczyszczenie bowiem języka wybiegło tak daleko po za rzeczywistą potrzebę, że natworzono wyrażen i zwrotów, zastępujących i omawiających nawet wyrazy poprawne i zdania prawidłowe, byle nie mówić tak samo, jak ogół pospolity, którego nie rzążą słowa tak prostacze, jak: krzesło, chustka, służący i mnóstwo podobnych. Wytworzył się z tego ekskluzywizm językowy — jakby mowa w mowie — i tak akademicka działalność przeszła w arystokratyczną zabawkę. Jak wysłowienie, tak też i całe obejście popadło nakoniec w taką przesadę, że granica śmieszności była tuż blisko, i już po za modnymi salonami i temi, które je gorliwie naśladowały, poczęły się odzywać zamiast poprzednich bezwzględnych zachwyty glosy trzeźwej krytyki.

A wtedy właśnie pojawił się w Paryżu genialny psycho-socjolog, który każde tętno swego społeczeństwa, każdy prąd swego czasu, każdy zwrot pojęć i przekonań wyczuwał od najpierwszego drgnienia, i zogniskowawszy w soczewce olbrzymiego talentu, stawiał przed oczyma ogółu w plastycznej formie teatralnych przedstawień; był to Molière.

Gdy Ludwik XIV-ty, obdarzony potężną intuicyą rozpoznawania wszelkich talentów, ocenił Molière'a i wędrowną jego trupę zainstalował w pałacu Bourbon, — na literackim horyzoncie Paryża ujrano inną cenzurę języka, zwyczajów i obyczajów, niż dotychczasowe akademickie salony, — teatr francuzki stał się prawie na równi z samym dworem

głównym kryterium prądów czasu, a bieżącej satyry—chłosecząc ze sceny wady społeczne i dziwactwa towarzyskie, podawał je na pośmiech ogółu, dyskredytując w opinii publicznej różne dotąd wielbione genre'y, gusty i style.

W roku 1659-ym, wobec króla i jego dworu, wystawioną została komedia Molière'a: „Śmieszne wykwintnisie“ („Les précieuses ridicules“).

Pomimo swojej stylowej dekadencji pałac Rambouillet zbyt poważne miał stanowisko i ustaloną opinię mądrości i cnoty, aby było możebnym pokazanie wprost palcem jego stron ujemnych. To też zręczny autor wprowadził do swojej sztuki nie précieuses'y z pierwszej ręki, lecz ich niezdarne naśladowczynie, w postaci dwóch panienek z prowincyi. Te, przywiezione przez ojca do Paryża dla wydania za mąż, chcą się popisać znajomością wielkoświatowych tonów, i małpując przerafinowane wysłowienie i obejście stołecznych salonów, okrywają się śmiesznością i zrażają rozsądnych konkurentów.

Molière wyraził na wstępie swoją głęboką cześć dla prawdziwych wykwintnis, zaznaczając, że w ich własnym interesie ośmiesza nieumiejętne naśladownictwo ich manieri. W rzeczy jednak tak na gorąco schwycił realne typy salonów, tak żywo odtworzył rzeczywiste dziwactwa i śmieszności wytwornego kółka, tak jasno wykazał szkody, jakie jego przykład wyrządza językowi, prawdzie i prostocie, że w karykaturach wykwintnis ogół mógł poznać wysoko postawione ich pierwotne wzory.

Od tej daty akademickie znaczenie pałacu Rambouillet poczęło szybko kłonić się ku upadkowi. Wyrocznią tonu i smaku stawał się coraz wyłączenie sam tylko dwór Wersalski, w którym młody monarcha od słonecznego swego wschodu coraz podnosił się do zenitu, a filie pałacu, inne arystokratyczno-literackie salony, coraz bardziej wyzwały się z naśladownictwa swego modelu, po którym odtąd na długie jeszcze lata pozostało tylko jedno: towarzyska jakby instytucja „salonów“, jako punktów zbornych przedstawicielstwa dystynkei, elegancyi i inteligencyi, celem wymiany myśli na temat zajmujących aktualności w sposób uprzejmy i dowcipny, pod prezydencją taktownej i miłej gospodyni, umiejącej grupować w około siebie wszystko, co wyróżnienia warte.

Odtąd też kobiety *salonowe* coraz bardziej z tradycyi pałacu Rambouillet zarzucały tendencję do pogłębiania umysłowości kobiecej, tak silnie zaznaczoną w pierwszym okresie jego świetności, z drugiego okresu zachowały—wysortowawszy przerafinowanie—wytworzony polor i ogładę, z jego zaś doby schyłkowej przejęły i podniosły do potęgi paniczną trwogę przed opinią erudycyi, samodzielności i wszelkiej tak zwanej męzkości, wraz z efektnym uwydatnianiem słabości, naiwności i wszelkiej tak zwanej kobiecości.

Ale w trakcie wytwarzania się tego ostatniego typu kobiecego, pozostało naturalnie jeszcze nie mało typów poprzednich, z czasów, gdy précieuses'y musiały posiadać nie tylko wykwintność, lecz także poważne wykształcenie. Były jeszcze kobiety, które jak

panna Scudéry, miały odwagę nie tylko posiadać szeroką wiedzę, ale nawet okazywać ją ustnie i piśmiennie. Sława literacka autorki „Klelii“, pobudziła też nie jedno kobiece pióro do próbowania szczęścia nie tylko w dozwolonych mu liścikach i wierszykach, ale także w elukubracyach dłuższej i szerszej miary. Napsuło się, co prawda, dużo papieru, który później miał wartość tylko papilotową; ale wśród plew zdarzały się i ziarnka talentów, które możeby się były korzystnie wyrobiły, gdyby nie coraz surowszy krytycyzm we względzie *sawantyzmu* kobiecego. Już młodszą o ćwierć wieku od panny de Scudéry pani de La Fayette, talentem znacznie ją przewyższająca, bo w powieści swe wkładająca dużo prawdy psychicznej i szczerzej uczuciowości, taką miała obawę przed opinią sawantki, że utwory swoje wydawała pod cudzem, mężkiem imieniem (literata Segrais), i dopiero wielkie uznanie, jakie pozyskały u ogółu jej „Zaida“ i „Księżna Kliwii“, a w następstwie kłopot mniemanego autora, skłoniły ją do wyznania swego autorstwa.

Współczesna z nią pani de Sévigné, pierwszorzędnym talentem pisarskim posiadająca, nigdy nawet nie spróbowała spożytkować swego wielkiego daru, pociąg swój do pióra zadawała przez całe życie jedynie na drodze korespondencyi prywatnej i do śmierci nie dowiedziała się o tem, że jest znakomitą autorką cennego pomnika literatury francuskiej Złotego wieku, jaki stanowi dokonany później zbiór jej listów. W zbiorze tym, oprócz ogólnie znanych zalet literackich, wykazuje się stale tak ceniona wówczas w kobiecie skromność umysłowa. Pani de Sévigné otrzymała przy uczonej wuju poważne i gruntowne wykształcenie; ale w listach jej świetnie je tylko rodzimy dowcip i sąd zdrowy, nauka zaś jest starannie zatuszowana; z pod mnóstwa zajmujących jako rysunek epoki drobiazgów kronikarskich, krążących w około króla, dworu i spraw wielkiego znaczenia, zrzadka tylko i bardzo nieśmiało przegląda myśl głębsza, ze studyów historycznych i zrozumienia sensu dziejowego wysnuta, lub naukowa ocena jakiej kwestyi.

Ostatni cios niedobitkom humanistycznie wykształconych kobiet zadał także Molière.

Kiedy pałac Rambouillet został zniwelowanym do poziomu wszystkich innych rezydencyi paryzkiego wielkiego świata, i ostatecznie wchłonięty przez wszechstronny i wszechświetny dwór królewski (gdyż Julia, księżna de Montausier została wielką ochmistrzynią maleńkiego Delfina, następnie zaś mąż jej objął urząd wychowawcy, ona zaś była honorową damą królowej), kiedy młody monarcha począł ulegać pokusom pięknych oczu, a dwór ochoczo szedł w pańskie ślady, i coraz częściej wytworna galanteria bywała maską skrytej demoralizacyi, typ kobiety lekkiej, zalotnej i powierzchownej, wkładającej cały rozum w elegancyę i dowcipkowanie, stawał się coraz bardziej poszukiwanym i wyróżnianym, a w skutek tego coraz częstszym i zwyczajniejszym — popyt wywołuje podaż. Nie bardziej nie bruździłoby w takim męzkich pragnień kobiecym ideale, jak umysł poważnie wykształcony; to też coraz dziwniejszemi stawały się w opinii ogólnej kobiety, zna-

jące łacinę i klasyków studyjające, coraz rozszerzano katalog wiadomości „męzkich“, które kobieta powinna „ignorować.“ Odbiciem, streszczeniem i skodyfikowaniem pojęć tego kierunku stała się komedia Molière'a „Sawantki“ („Les femmes savantes“). Z całą swoją świetną werwą, żywym realizmem i niezrównanym talentem wielki satyryk pokazał światu ze sceny wnętrze domu rodzinnego, w którym rządzą się, jak szare gęsi, trzy sawantki, gdy poczciwy gospodarz - pantofel wciąż tylko wyrzeka na mądrość żony i sióstr, służąc za organ wypowiadający opinie autora i ogółu o uczoności kobiecej. Pyszne kariatury trzech pedantek: despotycznej pani Filaminty, pretensjonalnej starej panny Belizy i zawistnej skromnisi Armandy, świetnie ilustrują fatalny wpływ uczoności kobiecej na jej charakter, obejście i postępowanie. Osią krytycyzmu są tu nie tyle jeszcze osobiste wady sawantek, ich zarozumiałość, pedantyzm, blaga, — jak przedewszystkiem ta strona rzeczy, która się odnosi bezpośrednio do samego Chryzała, a mianowicie dolegliwości jego w skutek braku komfortu w domu, spowodowanego zamięłowaniem trzech pań w literaturze i nauce.

To oświetlenie kwestyi przeważnie ze strony praktycznej, jest charakterystycznym w męzkich sądach o intelektualności kobiecej. Sąd ten jednostronny patrzy tylko na to, czem jest kobieta dla mężczyzny, jaką korzyść przynosi jemu, nigdy zaś na to, czem ona chce być sama dla siebie i jakie może mieć osobiste straty albo zyski.

Jest to ten sam stosunek, jaki zachodzi pomiędzy ludźmi w ogóle, a całym światem zwierzęcym: koń nas interesuje tem tylko, jak nas wozi i nosi, i nie nas nie obchodzi, jak jest koniowi wozić nas i nosić; racyą bytu psa jest strzedz nas i bawić, i nikomu na myśl nie przyjdzie, aby pies mógł mieć własną racyę istnienia; kura jest na to, abyśmy ją zjedli, — czyż można kurze przyznać jakiś odrębny cel życia? albo do czego by to było podobne, gdyby tak np. sarny i zające — które, jak wiadomo, są naszą zwierzyną — pewnego pięknego poranku objawiły nam, że na rożen nie pójda, bo mają w lesie swoje osobiste interesy?

(Ciąg dalszy nastąpi).



## SZKICE Z HOLLANDYI.

(Wrażenia z podróży).



Zerenaar, granica hollenderska, stacya jak każda inna, bez typowych żandarmów, ni żołnierzy, tylko dłuższy nieco postój dla rewizyi. Po krótkiej formalności otworzenia kufrow, wpuszczają obcych do Hollandyi.

Pociąg rusza. Przez jedyne, ale bardzo szerokie okno wagonu widać rozległe płaszczyny zielonych łąk, pasące się krowy, woły i stada owiec. Pomiedzy łąkami wiją się liczne, sztuczne kanały wodne, przerzynające cały kraj, jak pasma wstęg, zaś na horyzoncie



widnieją kształtne, wysmukłe młyny, tak dobrze znane ze słynnych krajobrazów Ruysdael'a. Zmrok zapada, pociąg miarowo mknie dalej, przebiega przez Gouda, Arnheim, Utrecht i staje wieczorem w Haadze.

Haaga, to patrycyusz, który choć przybrał cechy nowożytny, posiada jeszcze dawne tradycje rodu; gmachów okazałych mało, pałac królewski skromny, bezpretensjonalny, ale wszędzie ogrody, parki, trawniki z klombami kwiatów. Miasto dosyć ruchliwe, ma ulice szerokie, czyste, zadrzewione, domy jedno lub dwu-piętrowe lśnią się i połyskują lustrzanymi szybami. I tu, jak w całej Hollandyi, kanały wzdłuż i wszerz łączące ulice mostami.

Główną ozdobą Haagi jest olbrzymi park, zwany Haaghim Buschem. To mistycznotajemniczy las starodrzewia porośnięty mchem i bluszczami aż do góry; brak w nim tylko białych ołtarzy ofiarnych i Druidów o długich brodach z wieńcem liści na głowie, aby złudzenie było zupełne, że pozostał tak z zamierzchłych czasów przedhistorycznych.

Cieniste aleje prowadzą w głąb, gdzie otwiera się widok na szerokie polany, lub ze szmaragdowych gąszczów uśmiechają się białe domy wśród powodzi pelargonii i hortensyi!

Drugim klejnotem Haagi jest Muzeum, zwane Mauritshuis i rzeczywiście, że niezmiernie skarbcie królewskie, wobec bogactw tam nagromadzonych.

Wejście jest bezpłatne, *comme de raison*, aby sztuka była przystępną dla każdego, gdyż jej to zadaniem kształcić, uczyć i bodaj czy nie uszlachetniać.

Nazwiska Rembrandta i Pottera starczyłyby już chyba za wszystko, ale za tymi dwoma genialnymi malarzami, suną jeszcze całe zastępy innych, tak, że wzrok nienasytny nie wie, gdzie w pierw ma spocząć.

Na jednej ścianie nęcą go wesołe, rubaszne, pełne ruchu i gwaru obrazy Jana Steena i Adryana van Ostade, celujących w odtwarzaniu rodzajowych scen ojezystych, na drugiej widoki Ruysdael'ów, o pewnym odcieniu północnej melancholii. Tu wisi Wouwerman, na którego obrazach rycerskich nie brak nigdy tradycyjnego białego konia, ówdzie Gerhard Dow uśmiecha się rodzajową scenką, a Gabriel Metsu opowiada pędzlem troski i radości ludzkie. I znowu dalej zdają się wychodzić z ram urocze damy w atlasach i aksamitach Netschera i van der Mierisa, lub gorzej efektami świetlanymi obrazki Schalchena.

Zdala już olśniewa Rubens bogactwem kolorytu i przepychem ciała; życiem i wyrazem swoich portretów przemawia Ferdynand Bol, van Goyen i van der Welde zaznajamiają nas z widokami morskimi, Franz Hals siłą i zamaszystością pędzla przykuwa wzrok do siebie.

W sali siódmej znajduje się słynny obraz Rembrandta „Anatomia.“ Nocą, po zwiedzeniu tego przybytku sztuki, dziwne miałam hallucynacje. Oto na spienionem morzu przelewały się wodospady, wśród których zażywał kąpieli jakiś rycerz na białym rumaku, nieopodal gromada chłopów hollenderskich tańczyła dziką sarabandę z damą w białej atlasowej sukni, z ogromną koronkową fryzą

na szyi, przypatrywał się temu zaś z zacięciem professor z obrazu Rembrandta, trzymając za rękę trupa, którego anatomię objaśniał ślepemu Homerowi.

Przywidzenia tych mar nocnych rozwiąło dopiero słońce, kiedy moja „jouffrouw“ rozciągnęła firanki u okna, uśmiechając się u przejmie z pod białego czepeczka, zdobnego koronką i ozdobami srebrnymi u czoła, w kształcie czulków lub różków u owadów.

Elektryczna kolej zawiozła mnie do poblizkiego „Scheveningen,“ miejscowości kąpielowej nad morzem. Słońce igra po wodzie, przelewa się z falami i rzuca złote smugi na szeregi wspaniałych hotelów. W koszach i namiotach poustawianych nad brzegiem morza rojno i gwarno, jak w ulu.

Świątek dzieci pluska się bosymi nóżkami w białej pianie liżących piasek bałwanów, budując gorliwie góry, zamki i fortece.

O uszy przeważnie obija się język hollenderski, będący jakąś mieszaniną niemieckiego z angielskim, z początku zupełnie prawie dla obcego niezrozumiałą.

Z powodu niedzieli tłumy zciągnęły nad morze z poblizkiej Haagi, kawiarnie w kolumnadach hotelowych przepełnione publicznością świąteczną, w szklankach mienią się najosobliwsze trunki, które Hollendrzy zapijają dzień cały. Co drugi sklep to bodega z likierami, wódkami, lub rozmaitemi gatunkami limoniad i sorbetów.

O pierwszeństwo z niemi walczą jedynie sklepy z czekoladą, ulubionymi przez Hollendrów cukierkami „Hopjes,“ znanymi a nas pod nazwą ciągotek i trafiki cygar i papierosów.

Wyszedłszy nieco dalej w stronę parku, zgoła inny napotyka się widok. Wszyscy mieszkańcy wsi rybackiej wylegli na „düny“ i góry złotego piasku roją się od kobiet, mężczyzn i dzieci. Dla malarza, co krok, to obrazek! zwłaszcza rosłe, zdrowe Hollenderki z ludu przedstawiają doskonały sam w sobie typ i odznaczają się oryginalnością stroju na fałdzistych czarnych wełnianych sukniach, odstających z powodu nieobliczalnej ilości wykrochmalonych u spodu spódnic, czarne, jedwabne fartuchy.

Szyja wolna, na staniku nieco wyciętym, wełniana chusteczka, przeważnie zielona, aż do pasa, głowa przybrana w biały muślinowy czepeczek, odsłaniający czoło, ale więżący włosy z tyłu.

Nad czołem, u skroni ozdoby oryginalne złote lub srebrne, nieraz bardzo ładnej roboty, najrozmaitszych kształtów.

Dziewczęta idą po trzy, cztery, trzymając się pod rękę; te same twarzyczki śmiałe, o czystych liniach widać na porcelanowych tafłach z Delftu.

Delft. Jedno wrażenie przedewszystkiem, to czystość nie do opisania.

Ulice lśnią się tak, jak u nas posadzki pałacowe, i nic dziwnego, gdyż każdy dom ma w murze specjalny kran wodociagowy, którym co rano zmywają go od góry do dołu, ale prócz tego dziewczęta szorują jeszcze wciąż schody i bramy. Czy kobiety tu w ogóle jeszcze się czemś zająć mogą, wobec tego „Perpetuum mobile“ czyszczenia?

Właśnie słońce zachodzi nad tem cichem

miastem, odbija się w niezliczonych kanałach, różowi maszty okrętów, sunących z wydętymi żaglami, przebija się w oknach domostw, rzuca liliowe cienie na skrzydła młynów, stroi szybujące na niebie obłoki w przeróżne kolory tęczy, jednym słowem tworzy pejzaż niezrównany, naturalny „plein-air,“ malowany ręką natury.

Łąki, jak ogrody, na nich smukłe łodygi różowych, czerwonych i białych gladiol, pęki fioletoowych hortensyi, żółte i czerwone georginie i astry.

Ludzie powracający z pól niosą lub toczą na wózkach pęki kwiecica. To Haarlem, kolebka tulipanów i hyacenty!..

Pod względem malowniczości, żadne inne miasto hollenderskie nie wytrzymuje konkurencji z Rotterdamem.

To północna Wenecya, tylko z odmiennym typem mieszkańców, z innym stylem budynków, z cięższem i smutniejszem niebem, ale z kanałami i rzekami, przerywanymi je tak samo siecią wód wzdłuż i wszerz, jak swą południową siostrzycę.

Tu życie handlowe wre w pełni; w porcie leżą olbrzymie statki, przywożące z kolonii hollenderskich bogate ich produkty i setki okrętów, jachtów i łodzi rybackich kołysze się na burzliwych falach rzeki Maas.

Na jednym z placów stoi statua z brązu słynnego humanisty „Erazma z Rotterdamu,“ zaś w poblizkim parku o precudnych zakątkach i klombach kwiatnych rzuconych na wodę, marmurowy posąg poety Henryka Tolleusa.

Podobnym w charakterze jest Amsterdam nad Zatoką Zuidersee i rzeką Amstel, słynny ze szlifierni dyamentów, tylko że bogatszy w pojedyncze okazalsze gmachy i zawierający największe muzeum hollenderskie, t. zw. „Rijks Museum.“

Oślawione „Ghetto“ amsterdamskie mieści w sobie dom, w którym ujrzał świat Spinoza i drugi, zamieszkiwany kiedyś przez Rembrandta, zresztą nie zachowało wcale starożytnego wyglądu i odznacza się jedynie wybitnie semickim typem swych mieszkańców. Jak u nas, tak i tu kobiety w perukach, wydatne nosy, i wymownie charakterystyczna żywość orientalna ruchów.

Hoek van Holland, port morski, z kąd statki rotterdamskie wypływają na pełne morze, zbudowany olbrzymim kosztem 36 milionów guldenów. Zdala kołyszą się łodzie rybackie, stojąc na miejscu z zarzuconymi w głąb sieciami. To czas połowu śledzi, które później wyselają ztąd na cały świat.

Wiatr dmie i rzuca rozhukane fale o brzeg; warczą, huczą i skarżą się, jak istoty ludzkie, bezbronnie przeciw potędze silniejszego. Ten wiatr tak sobie z niemi igra, jak los z ludźmi i smaga i bije je nielitościwie.

Scheveningen. Słońce, jak olbrzymi czerwony balon, opuszcza się coraz niżej i niżej, i zanurza się zwolna w ciemno-błękitnej toni morskiej.

Pogasły blaski i barwy, natomiast hotele na plaży zajaśniały setkami lamp elektrycznych i oto z jednego z nich płyną tony doskonałej orkiestry włoskiej, grającej z zacięciem tęskny i marzycielski „Valse bleue.“

Nad morzem cicho, tylko woda dalej szumi i śpiewa o swej nieskończoności i bezu-

stannej żywiołowej walce i tylko tam gdzieś na ciemniejszym widnokregu płyną, jak wiadma, statki i łodzie...

Aras.



## Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, Czerwiec—Lipiec.

(Dokończenie).

Wtedy jedni śmieją się, jak pijani, inni rzucają desperacko rękoma, inni wreszcie utrzymują, że napewno chcieli grać na zwycięzcę, ale przyjaciel poradził grać na konia, który właśnie przyszedł ostatni. I tak codzień leją się setki tysięcy franków i to nie z kieszeni bogaczy, ale z woreczków biedaków, którzy na wyścigi jeżdżą, żeby coś zarobić i najczęściej tracą wszystko. A jednak wygrać można i wygrywa się, bo wyścigi nie są hazardem zupełnym. Trzeba tylko umieć grać, mieć pewien kapitał na przetrzymanie złych dni. Jeden z moich znajomych grający według wykazów giełdowych, wygrywa rocznie więcej, niż 20,000 fr., grając w każdym biegu, gdzie więcej niż 5 koni, na trzy konie, po 50 fr. na każdego konia.

Ale tłum przegrywa. I jeżeli Francja nie ma loteryi liczbowej Włoch i Austrii, ma wyścigi, które rok rocznie olbrzymiami summami przepędzają pieniądze z jednych kieszeni do drugich.

Teraz wyścigi kończą się w Paryżu, przenosząc się do miejsc kąpielowych i nadmorskich miast: do Vichy, Caboury, Deauville.

Za niemi paryżki tłum biedaków nie pójdzie, pojedają tylko zamożni, którzy umykają z Paryża przed 14-ym lipca, przed świętem Narodowym; kiedy piszę te słowa, dochodzi mnie z ulicy kakofonia zmieszanych dźwięków. To uliczne orkiestry grają na małych estradach, ubranych w świetliste kwiaty kolorowe, a w przestrzeni ich ogrodzonych girlandami barwistych lampionów, ludek tańczy, i kręcić się tak będzie do rana, na rogu każdej ulicy, na wszystkich placach paryżkich.

Wieczorem szpitale zapełniają się rannymi, bo liczne libacje prowadzą do liczniejszych, niż zwykle, świeżych pojedynków.

Ale lud się bawi...

W teatrach odbywają się darmowe przedstawienia i loże abonentów w Operze zajmują na ten jedyny w roku dzień ci, którzy nigdy do teatru nie chodzą. Większość teatrów zamknęła swe podwoje na sezon letni.

Kiedy wspominał teatry, chciałbym jednym słówkiem napomknąć o skromnej, małej sztuce w dwóch odsłonach, której nazwiska autora przypomnieć sobie na razie nie mogę. Grano ją w małym teatryku Cluny, a tytuł sztuki „Poussier de Mottes“ („Miał torfowy“). Tak nazywają małego chłopca od węglarza. Sztuka rozpoczyna się w komisaryacie policyi. Węglarz wpada, szamocąc się z Poussier de Mottes, bijąc, kopiąc malca, który mu ukradł dziesięć franków. Komisarz rozpatruje sprawę i wzywa matkę chłopca. Nowe łajania i bicia, które nic z malca wydobyć nie mogą. „Nie ukradłem,“—szeptem przez łyżę.

W biurze komisarza znajduje się reporter, narzekający na brak wiadomości: nie, ani jednej „porządnej śmierci,“ ani jednego pokłócia nożami, nawet marnego samobójstwa nie ma do zanotowania.

Z radością więc wsłuchuje się dziennikarz w śledztwo, prowadzone przez komisarza, studyując i płacz chłopca, i przekleństwa, i kłaki węglarza.

Aż wpada matka malca. Grad nowych

uderzeń, i kończy się sprawa kompromisem: matka-pracznica zapłaci za syna.

Kiedy komisarz, matka i węglarz wchodzą razem do obocznego biura, aby debatować nad losami małego złodzieja, dziennikarz powoli i zreżymie wyciąga prawdę z malca.

Pieniądzy nie ukradł właściwie. Dał je starszemu kolledze, który postawić je miał na wyścigach na konia-pewniaka. Koń zwiódł, czy kollega ukradł wprost te pieniądze, dość, że chłopiec summy, którą za towar odebrał i sprzeniewierzył, oddać nie mógł.

Opowiada, co miał sobie kupić za wygraną sumę, z której owe dziesięć franków miały być przedewszystkiem zwrócone.

Dziennikarz chłonie to opowiadanie i wypada z okrzykiem tryumfu: „Jest nakoniec sensacyjny artykuł.“

Druga odsłona pokazuje nam to samo biuro komisaryatu, do którego wpada wściekła, zaperzona matka chłopca-złodzieja.

Jakto! obiecano jej dyskrecję, dziesięć franków ciężką zarobioną pracą dała, żeby malca nie zaarrestowano, żeby nikt nie wiedział, a tu cała dzielnica pokazuje go palcami, wszyscy chłopcy lecą za nim, wrzeszcząc: „Złodziej, Poussier de Mottes złodziej!“ Pismo na drugiej stronie cały artykuł dało. Opisało wszystko, bez litości, bez opuszczenia najdrobniejszego szczegółu i tytuł sam brzmi: „Poussier de Mottes.“ I chłopiec zrozpaczony słuchał, słuchał, uciekł do matki, płakał, szlochał, a teraz znikł.

Wtem jakieś krzyki dochodzą z dołu.

Do cyrkułu niosą ciało wyłowione w Sekwanie, ciało młodego chłopca, ciało biednego „Poussier de Mottes,“ który swej hańby przeżyć nie umiał.

I kiedy matka, jak lwica, rzuca się na komisarza, dziennikarz, który przyszedł po nowe sensacje, zbiera szybko notatki do epilogu, jeszcze więcej sensacyjnego, niż sam artykuł.

Jeżeli opowiedział całą tę cokolwiek melodramatyczną i dość miernie zresztą w dialogu zbudowaną sztukę, to dlatego, że porusza ona jedną z nader ważnych, pierwszorzędnych kwestyi społecznych, owego „prawa kaduka,“ na zasadzie którego gwoli informacji publiczności, reporter staje się najniebezpieczniejszym szpiegiem, śledzi każdy ruch, wydobywa każdy szczegół z życia tych, których szczęśliwe, czy nieszczęśliwe okoliczności zrobiły „aktualnymi.“

Owa skromna sztuczka, przedstawiona w małym teatryku paryżkim, potrąca o poważną strunę etycznego życia, o szkodliwą nieraz rolę pisma.

Kiedy się przegląda pisma tutejsze, doprawdy obrzydzenie i rozgoryczenie ogarnąć może do wszystkiego, co dotyczy dziennikarstwa. Reporterzy wtlacza się wszędzie, wgryza się w prywatne, najtajniejsze życie wasze i jeśli tylko nieszczęście spadło na wasz dom, wszystko ujawnia się, wywleka na widok publiczny, stając się niejako własnością milionów czytelników za susa, który dali za pismo.

Samobójstwo Syveton'a obryzgało niezmiernie błotem całą jego rodzinę. Nie było brudów i sensacyjnych plotek, któreby nie znalazły miejsca na szpaltach pism paryżkich. Reporter staje się szpiegiem i zdrajcą. Wobec mnie dyrektor jednego z wielkich pism paryżkich robił dotkliwie wymówki sekretarzowi redakcyi, który otrzymawszy pewną skandaliczną informację, nie skorzystał z niej zaraz, proszony przez osoby interesowane o milczenie i dał się ubiedz innemu dziennikowi.

— Ależ ja dałem słowo, że tego nie zamieszczę do chwili, w której otrzymam upoważnienie, — tłumaczył się sekretarz.

— Mój drogi — odpowiedział dyrektor, — słowo dać należy, ale go nie wolno dotrzymać; masz dowód, kto inny dał artykuł. Jak

ci tylko dadzą informację, obiecyj co chcesz, ale informację drukuj natychmiast.

Rezultat tej etyki prosty: dziennikarz wszelkimi środkami, przez służbę, przez znajomych, dzięki plotkom, zawiściom, dowiadyuje się co tylko można, zlepią to w artykule i drukuje bez troski o to, że za wierszami jego wlecz się dyfamacja, dyshonor, śmierć moralna dla dzieci, żon, matek, ofiar prowadzonych na publiczne znieważenie.

Czasami stają się te „informacje“ źródłem tragikomicznych epizodów. Niedawno pewien rejent prowincjonalny, zamożny i wielce poważany w swem mieście, przyjechał na kilka dni do Paryża. Nie umiał oprzeć się wdziękom jakiejś pięknej dziewczyny; udał się do hotelu, a gdy wyszedł, okazało się, że ulżono mu o kilka tysięcy franków, które miał w portfelu.

Naturalnie zrobiła się cała awantura, ale wobec komisarza policyi notaryusz cofnął skargę, nie chcąc, aby nazwisko jego było zamieszane w ów skandal. I tu wychodzi cała ironia sytuacji: pisma podają całą historję z wszelkimi szczegółami drastycznymi, z uwagą, że ów notaryusz bardzo pragnął, aby o sprawie jego przemilczano, gdyż ma córkę zaręczoną i żonę jeszcze zazdrosną.

Naturalnie, tak przejrzyście „przemilczano“ o tożsamości jego osoby, że i żona, i cała rodzina natychmiast wiedziała o kim mowa.

Jeżeli takie fakty nie są zbyt bolesne, to straszne są za to te sprawozdania, które z bezwzględną obojętną srogością obdzierają wprost ludzi z czci i wiary; dziennik, jak stouki Argus widzi wszystko, słyszy wszystko, i śliną plwa na najniebezpieczniejszych, byle dać artykuł sensacyjny.

Miejmy nadzieję, że wolność prasy nie da u nas tak smutnych rezultatów, że wysoki poziom moralny naszego dziennikarstwa utrzyma się zawsze i że żadna swoboda nie doprowadzi u nas do nadużyć najoboleńszych, bo dotykających czci ludzi często najniebezpieczniejszych.

Dziennikarstwo paryżkie jest tak przekupne, tak łatwe do nabycia, że niema tu prawie pisma, któreby nie było zaprzęgnięte kilku rządów naraz, aby popierać sprawy danych państw, najczęściej fałszyfikując prawdę bez litości.

Szantaż, przekupstwo, płatna reklama kwitną tu niepodzielnie, a ta ostatnia wywiera szczególnie smutny wpływ na literaturę, którą gubi zwolna, ale pewnie.

Coraz mniej ukazuje się dobrych powieści, a ci powieściopisarze, którzy dawniej dawali dzieła wartościowe, dzisiaj przerzucają się wszyscy na powieść pornograficzną, która idzie najłatwiej, dzięki płatnej reklamie.

Najciekawszym przykładem takiej zupełnej literackiej dekadencji jest ów słynny Willy,—Henryk Gauthier-Villars, człowiek nader zdolny, który zaczął karierę od poważnych studyów historycznych, dał wespół ze swą żoną trzy świetne studia: „Claudine à l'école,“ „Claudine à Paris,“ i słabszą już nieco „Claudine en ménage,“ aby dojść do pornograficzno-błażeńskich opowieści, jak ostatnia jego „powieść“—„Chaussettes pour dames,“ coś nieopisanie trywialnego, pozbawionego i dowcipu, i sensu, ale sprzedawanego dobrze, dzięki reklamie.

I co dzień wychodzą takie powieści, godne alków kurtyzan, pełne brudnych epizodów, ilustrowane rysunkami podbudzającymi wszelkie namiętności, czasami dawane na tle pseudo-historycznem starych Indyi, Egiptu czy Rzymu.

Powieści te, właściwie powtarzające wiecznie tę samą fabułę, pisane są na zamówienie, bez żadnego artystycznego trudu, aby tylko zapełnić tom paruset stronice opisami lechtającymi zmysły — i książka sprzedaje się.

Owa wielka niegdyś literatura francuzka pada. Mistrze nowelli znikli, nawet znikli

twórey owych lekkich, pieprznych nieco nowellek, w rodzaju Guy de Maupassant'a, Silvestre'a i Catulle Mendèz'a z dawnych lat.

Dowcip w nowelli ginie, owa słynna point'a francuzka, ów „esprit gaulois“ zastępuje się obecnie długimi pseudo-Flaubertowskimi opowieściami, w których opis nagich ciał zmieszanych w rui niewypowiedzianych orgii, odgrywa główną rolę.

Obok tej pornografii pojawia się jeszcze inny rodzaj — *le genre d'honneur*. Opowieści w rodzaju Edgara Poë, prawie naukowe problemy psychiczne, wyjątkowe wypadki zbrodni i obłąkań, wplątane w szereg zdarzeń przerażających, ścinających krew w żyłach czytelników czy widzów, oto drugi ulubiony i pokupny rodzaj literatury powieściowej i dramatycznej.

I pisarze poważni, cenieni słusznie, dla chleba zmuszeni są hołdować temu nieszczęsnemu prądowi, pisząc, jak inni, wyszukane pornografie, gdyż inaczej książki ich uznane będą za nudne i niemodne.

I znowu nawracając myślą do nas, jestem pewien, że nie zważając na przyszłe zniesienie cenzury, taki chwast pornograficzny u nas nie rozpleni się; gdy chcemy pornografii, mamy przecie zawsze książki autorów francuzkich!

W tych dniach cały Paryż żył w gorączce: miało odbyć się pierwsze ciągnięcie loteryi prassowej, której główny los wynosi milion franków za dwudziesto-frankowy bilet.

Od rana tłum zalegał dziedziniec Comptoir d'Escompte, gdzie odbywało się losowanie; szczęśliwą posiadaczką miliona została niejaka pani Hofer, właścicielka sklepu z napojami dla wojska w Sedanie.

Setki niezadowolonych czekają drugiego miliona, a jak wielki jest pokup na bilety, dowodzi fakt, że za bilet 20-frankowy płacą obecnie 28 franków.

Bawi w Paryżu szach perski, Muzafer-Edin, z olbrzymią swiata, zajmując całe dwa piętra w Elysée-Palace, przepyszny hotelu w Champs-Elysées. Codzień całe paki przywożą do hotelu, bo szach kupuje co może, pakami, i całe bazary najniepotrzebniejszych rzeczy skupuje codziennie.

Parę słów na zakończenie o młodym i niezwykłym artyście, o Tadzium Styce.

Najmłodszy ze wszystkich artystów wystawiających w Salonie, Tadzio Styka, od paru lat daje do Salonu swe prace, odznaczające się wielką siłą temperamentu artystycznego, doskonałym rysunkiem, tonem efektownym, subtelnym, płamą rozłożoną z wielkim czuciem malarskim.

Widziałem portrety jego świetne w światłocieniu, takie mocne, dobrze złożone, oświetlone logicznie, pełne życia, bardzo podobne i utrzymane doskonale w charakterze.

Jest on byłym uczniem Hennera, wielkiego malarza francuzkiego, który zmarł tu przed kilku dniami. Henner, słynny za swe główki rudawe o świetlistej cerze, miał powodzenie i sławę, za wielką może w stosunku do swego talentu.

Tadzio Styka i w tym roku tryumfował w Salonie paru dobrymi pracami, obecnie zaś pracuje nad wielkim obrazem, świetnie istotnie skomponowanym, „Prometeusz“, w którym zachwyca wprost straszny, przerażający sęp pod rozkrzyżowanym Prometeuszem jak kat stojący, wieczną grozą go przejmując.

Duży to talent ten chłopiec, a wytrawny kierunek ojca nadaje pracy jego pożądaną rozwój, obiecując nam wielkiego może w przyszłości artystę.

K. D.-S.



## Kronika działalności kobiecej.



— Z Uniwersytetu paryzkiego.

Rodaczka nasza, panna Anna Drzewinianka, doktorka nauk przyrodniczych, jest piątą dopiero kobietą, a drugą Polką (pierwszą była p. Curie-Skłodowska), która otrzymała stopień doktorki na wydziale nauk ścisłych Uniwersytetu paryzkiego.

Rozprawa p. Drzewinianki, przyjęta przez sędziów ze wzmianką *très honorable*, nosi tytuł: „Contribution à l'étude du tissu lymphoide des Ichtyopsidés.“

Dwa skromniejsze dyplomy zdobyły pp.: W. Cichowiczówna i M. Sowińska, obie z W. Ks. Poznańskiego. Są to dyplomy *des études francaises*, utworzone od niedawna naumyślnie dla cudzoziemców, pragnących się wydoskonalić w języku i literaturze francuzkiej.

Trzeci taki dyplom uzyskała panna Irena Mayzłówna, córka adwokata B. Mayzla z Warszawy. Niezależnie od świadectwa sorbońskiego, panna Mayzłówna, po złożeniu egzaminu w „Gildzie międzynarodowej“ (*Gilde Internationale*), otrzymała dyplom z ukończenia studiów w tej szkole.

— Dania. Przy Uniwersytecie w Kopenhadze po raz pierwszy dwie studentki zdały państwowy egzamin na doktorów praw i administracji.

— Ameryka. Przy ostatnich egzaminach w Medical-College w Filadelfii, dwadzieścia dwie młode panny z wielkim uznaniem otrzymały stopnie doktorów medycyny. Najgorętsza owacya, po świetnie złożonych egzaminach, spotkała małą osobkę, miss Li-Bi-cu. Jestto druga Chinka, która w Ameryce zdobywa ten stopień naukowy. Tygodnik, poświęcony sprawom kobiecym „Womans Journal“ podaje o młodej lekarce obszerniejszą wzmiankę. Przybyła ona do Ameryki przed 8-iu laty, 4 lata przebyła w szkole misyjarskiej w Nowym Yorku, gdzie zwracała na siebie uwagę pracowitością i wybitnymi zdolnościami. Ze szkoły owej wstąpiła do Uniwersytetu w Filadelfii, aby po 4-ch latach tak świetnie ukończyć studia. Obok niej wybitnymi zdolnościami odznaczyła się młoda Ormianka z Konstantynopola, miss Agdonia Hibakian.

Doktor Florencyja Sabin została profesorem anatomii w Uniwersytecie w Baltimore. Miss Sabin uważana jest, jako powaga w kwestiach, tyjących zaburzeń nerwowych.

Z. S.



## Kroniczka.



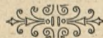
— W życiu kobiety współczesnej nadeszła doba reform. Domaga się ona praw jej przynależnych, walczy o swobodę, odrzuca krepujące ją od wieków formułki i konwenanse. Kobieta-człowiek staje do pracy i walki z mężczyzną. W tej epoce rozwoju jej dążeń i sił intelektualnych uderza nierównomierny rozwój jej uczuciowości, czyli jak się podobało nazwać to autorce: *przerost erotyki*. Bo właśnie o artykule, jaki sprawie tej poświęciła p. Marya Lipska w „Ogniwie“ (№ 31—32) chcę mówić. Od wieków przyjęliśmy uważać, iż treścią życia kobiety jest miłość. Tak było, tak jest nawet dotychczas w wielu wypadkach. Ale kobieta uświadomiona, kobieta-człowiek podnosi bunt przeciwko określeniu tej wyłączności, — zakreśla dziś szersze cele, ogarnia dalsze horyzonty, sięga zamiarami dalej, kocha, lecz obejmuje sercem i duszą idee i ideały ogólnoludzkie.

I ta wrodzona, kultuwowana i uznawana dotychczas wybujałość jej sercowych uczuć staje jej na przeszkodzie w pracy szerszej, bez przymieszki osobowości i interesów osobistych. Miłość, to cudne, bozkie objawienie, rzadko

dawało jej zupełne szczęście; przynosiło częstokroć zawód bolesny, a wtedy życie kobiety stawało się nagle bez treści, zrujnowane, rozbite, wykołajone. I oto dzisiejsza kobieta zawołała wielkim głosem: Nie! Nie dać się podeptać i zmarnować doszczętnie, postawić coś wyższego po nad miłość osobistą w życiu, coś, dla czego by również żyć było warto i uchować duszę od doszczętnego rozbicia, a nie żebrać wiecznie o uczucie, które jej czasem, jak z ła-ski, świadczone bywa. Jeżeli w życiu mężczyzny — miłość jest tylko epizodem przejściowym — niechże w życiu kobiety nie będzie *wyłączną* jego treścią.

I oto autorka powiada: Jest na to rada. Reforma wychowania młodego pokolenia może i powinna wpłynąć dodatnio na zrównoważenie rozwoju uczuć; środkiem ku temu jest koedukacja, następnie staranniejsze fizyczne wychowanie dziewcząt, aby przy sprawności i sile umiały same dawać sobie radę i polegać jedynie na sobie, wreszcie rozszerzenie horyzontu umysłowego i czuciowego, rozbudzenie uczuć społecznych, zaszczepienie poczucia potrzeby, konieczności tej pracy. Na możliwy zarzut, iż taka kobieta przyszłości będzie wyjąłowana z uczuć tkliwszych i przymiotów kobiecości, odpowiada autorka, iż pogłębienie i rozszerzenie życia duchowego kobiety nie wpłynie na obniżenie jej zalet, a przeciwnie dusza jej będzie uodporniona, zahartowana i będzie zdolna ocalić *siebie* po rozbiciu, wkładając całe swoje jestestwo w pracę dla drugich.

— Pod przewodnictwem prof. Gasztowtta odbyło się w dniu 25-ym z. m. uroczyste rozdanie nagród w Szkole polskiej w Paryżu, na którą licznie zgromadziła się publiczność polska i francuzka. Kolejno przemawiali: prof. Gasztowtt, d-r Lewenhard, który skreślił działalność szkoły polskiej w Paryżu i przypomniał uczniom obowiązki, jakie na nich wkłada wychowanie narodowe, — poczem zabierał głos p. Legrand i dyrektor szkoły Budzyński, który odczytał sprawozdanie za rok ubiegły i zachęcał uczniów, aby współpracowali z wychowawcami. W roku ubiegłym odznaczyli się uczniowie: Żurkowski, Zembrzyski, Zborowski, Grabiński, M. Budzyński, Sobczyński, Erman i Sobolewski. Program urozmaicały deklamacje i śpiewy chóralne pod przewodnictwem p. Jędrzejewskiego.



## ODPOWIEDZI.

— *Pustelnicy*. — Druk nowelli rozpoczniemy niebawem.

— *M. K. z nad Donu*. — Bliższych informacji nie posiadamy; prosimy zwrócić się w tej sprawie do Okręgu Naukowego m. Warszawy.

— *L. L. z nad Oseki*. — Baronowa Staffe, która była wyrocznią w świecie mody, zebrała praktyczne rady i wskazówki, jak zachować piękność i zdrowie w najpóźniejszym wieku. Na porost włosów znajdujemy w książce jej środki niszczące następujące: na twarzy lub rękach najskuteczniejsze i nieszkodliwe, aczkolwiek nieco bolesne jest wrywanie włosów za pomocą małych szczypczyków stalowych; może być także zastosowaną operacja elektryczna. Używane są także maści. Maści powyższe składają się: 1) z węglańki sody 10 gramów, wapna 5, świeżego sadła 40; 2) niegaszonego wapna w proszku 40 gramów, krochmalu 30 gramów, siarczynu arseniku w proszku 4 gr. rozrobić z wodą i przykładać wieczorem; strzedz się dotknięcia wargami, gdyż spala i niszczy skórę, która naturalnie potem luszczyc się będzie. Babki nasze zachowały przepis mniej ryzykowny: zrobić rzadkie, t. zw. wolne ciasto z mąki i nacierać niem miejsca owłosione aż do skutku.

### Treść numeru:

Ś. p. ks. Jerzy hr. Szembek, arcybiskup mohylowski. — Choroby wieku: Nerwowość i neurastenia, przez Władysława Zarembinę. — Ploteczki i prawdy, feljeton tygodniowy, przez Parola. — Joan. VIII, 1—12, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — W godzinie ciszy (wiersz), przez Zofię Maślakiewicz. — G. Flaubert: Legenda o świętym Julianie Gościnnym, tłum. M. Pankiewiczówny (dokończenie). — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Szkice z Hollandyi (wrażenia z podróży), przez Arasa. — Z listów do „Bluszczu“ z Paryża, przez K. D.-S. (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 10-ty baśni dramatycznej w 4-ch aktach Einara Arne Chistiansena p. t. „Piotr Plus“, w przekładzie K. Łaganowskiego.

**Dodatek:** Opis ubiorów i robót (rycin 26). — Przepisy kuchenne.

Szkoła Rękodzielnicza Cechowa dla Kobiet  
**K. MACZYŃSKIEJ-METHAL**

Mazowiecka 11, obecnie Śto-Krzyżka 31.  
Przyjmuje pensyonarki, przychodnie, na różne rzemiosła; kwalifikuje na nauczycielki robot. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa cechowe. Zapis od 22 Sierpnia.

**SUDORYN** AP. KOWALSKIEGO, APTEKARZA  
w WARSZAWIE, GRANICZNA 10, **POTU**  
USUWA ŚWIETNIE POT, ODPARZENIE, WON  
BLASZANKI Z SITKIEM PO 30 i 50 kop. ŻADAĆ WSZĘDZIE.  
STRZEŻ SIĘ NAŚLADOWNICTW W BLASZE I TEKSTURZE.

W 6-cio klasowym Zakładzie Naukowym Żeńskim

**MARJI MATUSZEWSIEJ**

przy ulicy Leszno № 28, w Warszawie  
Zapis uczennie odbywa się codziennie od 2-4. Egzaminy wstępne od 4-go Września. Rok szkolny 5-go Września.

**Źródłem siły  
dla wszystkich osłabionych,**

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

**SANATOGEN BAUERA**

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem.  
Wystrzeżać się bezwartościowych naśladownictw.  
Brozury na żądanie wysła bezpłatnie S. Karczewski,  
ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

**GAZETA HANDLOWA.**

„GAZETA HANDLOWA“ weszła obecnie w fazę stałych reform. Dotychczas Gazeta powiększyła już format, wzbogaciła treść i rozszerzyła koło współpracowników. Gazeta wychodzi również w niedziele i święta.

W ostatnich czasach jedna sobie szeroką poczytność we wszystkich kołach czytelnich, jako pismo, które obok swej specjalności handlowo-przemysłowej, pożytecznej teraz dla każdego, zawiera obfitą treść ogólną.

„Gazeta Handlowa“ obejmować będzie nadal główne działy następujące: artykuły wstępne, poświęcone sprawom społecznym, ekonomicznym i polityce; uwagi informacyjne i krytyczne nad sprawami chwili bieżącej; korespondencje z wszystkich ognisk życia; dział literacki i artystyczny; feljtony na temat spraw społecznych; najbogatszą w naszej prasie kronikę handlu, finansów i przemysłu; obszerną kronikę ogólną i polityczną; telegramy własne i Agencji Petersburskiej; odcinek powieściowy, teatralny i literacki; kronikę akcyjną; fachowe wskazówki społeczno-gospodarcze; wiadomości instrukcyjne (licytacje, losowania, wykaz spółek, wykaz zaliczeń na kolejach i t. p.); najbogatszy dział giełd, oraz targów zbożowych i towarowych, służący na podstawie do kontraktów.

W zakresie informacji handlowych i przemysłowych, czerpanych wyłącznie ze źródeł bezpośrednich, „Gazeta Handlowa“ jest dowodem, nieodzownym w rękach każdego, kto zawiera jakiegokolwiek obroty i kto pragnie się zapoznać z biegiem całego życia ekonomicznego kraju; w działach ogólnych daje pełny obraz ruchu społecznego, politycznego, literackiego i artystycznego, holdując w ocenie zjawisk życiowych dążnościom szersze liberalnym.

Naczelny kierunek redakcyjny „Gazety Handlowej“ spoczywa w rękach  
**St. A. Kempnera.**

Gazeta korzysta ze współpracownictwa wszystkich prawnie praktycznych ekonomistów w kraju i ma bezpośrednie stosunki informacyjne z wszystkimi instytucjami ekonomicznymi i handlowymi.

W działach ogólny biorą udział liczne, pierwszorzędne siły literackie, które odznaczyły się talentem i niepodległością myśli.

Na żądanie posyła się **bezpłatnie** numery okazowe każdemu, kto poda swój adres.

**Szkoła Artystyczna dla Kobiet „A. CONTI”**

ulica Wielka № 23 (róg Wspólnej).

Kierownicy artyści: Rysunki i Malarstwo—A. Austen i E. Grajert; Rzeźba—M. Gerson—Dąbrowska i Wł. de Turquier; Sztuka stosowana—L. Łempicka, B. Maruszewski i A. Porczyński; Rys. techniczne—A. Porczyński; Rys. wieczorne—L. Łempicka i B. Wiśniewski; Kurs dla dzieci (chłopców i dziewczynek)—M. Gerson—Dąbrowska i L. Łempicka. Zapisy od 1-go, a lekcje od 15-go Września od g. 10—2 i og 5—7. Programy na żądanie.

**1) 3-klasowa szkoła prywatna**  
(bez praw)

Do niższych klas przyjmowani są uczniowie od lat 7.

**2) Szkoła niedzielno-handlowa,**

w której są wydawane: Religja, języki: polski, rosyjski, niemiecki, arytmetyka zwyczajna i handlowa, geografia zwyczajna i handlowa, buchalterja, korespondencja handlowa w trzech językach, prawo handlowe i kaligrafja.

**3) Kursy wieczorowe dla mężczyzn,**

w których są wykładane: Religja, język polski, język rosyjski, arytmetyka, geografia, historia, nauki przyrodnicze, kaligrafja, rysunki i kreślenie. Dla osób pracujących po fabrykach i warsztatach znaczenie ustępstwa w opłacie.

Chmielne № 13.

Przełożony Szkoły **ROCH KOWALSKI.**

Towarzystwo Akcyjne

**„Gazety Polskiej”**

z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcji po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższe ustawa Towarzystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej“ pod nazwą:

**TOWARZYSTWO AKCYJNE**

zakładów i wydawnictw

**„GAZETY POLSKIEJ”**

w Warszawie,

z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcji, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca „Gazety Polskiej“, Jan Gadomski.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysługują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierwszym rzędzie te, które są dziś własnością Jana Gadomskiego, t. j. „Gazetę Polską“ i „Bibliotekę Dziel Wyborowych“ Dla nabycia też i prowadzenia tych wydawnictw, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw, dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzystwo Akcyjne „Gazety Polskiej“.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierwszym tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcje Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ“, przyjmuje założyciel Towarzystwa, Jan Gadomski, w lokalu Redakcji „GAZETY POLSKIEJ“ w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wydawnictw „Gazety Polskiej“ w Warszawie

Jan Gadomski.

**List otwarty**

do p. Plato v. Reussner

Ucząc się niemieckiego języka, próbowałem rozmaitych podręczników i nauczycieli, ale rezultaty nauki były marne, prawie żadne. Dopiero z porady nauczyciela, p. Tews, rozpocząłem na nowo naukę przy pomocy Pańskiego „Samouczka“, z którego nauczyłem się po niemiecku, a potem po angielsku nadzwyczaj łatwo i prędko.

Dzięki więc znajomości niemieckiego i angielskiego języka, dostałem tu w Ameryce, bardzo korzystne zajęcia, o jakie się naprótno kuszają moi koledzy, nieznaną tych dwóch języków. Wydatek na książki zwrócił mi się z tysiącnym procentem. Zatem uważam „Samouczek“ Pański za najlepszy podręcznik w Europie i Ameryce, który cenę tysiąc razy wyżej, niż złoto i brylanty, bo te może łatwo ukraść złodziej, a „Samouczek“ i wiadomość z niego nabyta jest niewyczerpanym źródłem skarbów, bezpiecznych przed złodziejami i rabusiami.

**LEOPOLD KUZWA.**

Toledo, Ohio, 224 Colburn-Str., Ameryka Półn. Dnia 16-go Lipca 1905 r.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE**

**JAHOŁKOWSKIEJ**

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

**LEOKADYI MAX**

Warszawa, Marszałkowska № 113

(Zielna № 8) parter.

**Prasuje**

bieliznę męską bez szkodliwych dodatków.  
Warecka № 9 m. 8.





№ 1. Kostium jesienny z wełny w paski.

(Dok. opisów do Nr. 33).

№ 14. Jesienny kostium wizytowy z frakowym stanikiem.

Covert coat albo tweed w nikle kraty, w modnym kolorze, pasmanteryja w ciemniejszym tonie i kamizelka jedwabna w kolorze sukni, wypełniona koronkowym żabotem, składają się na bardzo ładną i elegancką całość

Spódnica w dole szeroka, rozrzucająca się w swobodne fałdy. Pasmanteryja, naszyta na szwach przednich, przechodzi na brzeg w dole i na pierwszych szwach bocznych podnosi się do wysokości bioder. Frakowy stanik, zaokrąglony z przodu w kształcie bolera, osztyt pasmanteryą. Drapowaną kamizelkę z materyi, przystrajają żabot z pięknej, szerokiej koronki. Rękawy gładkie, z małym przy rękę rozporkiem, osztyt pasmanteryą i falbanką z koronki, odpowiedniej do żabotu, 7 ctm. szer.

Potrzeba: 8 mtr. materyału podw. szer., 14 mtr. pasmanteryi, 2 mtr. koronki 7 ctm. szer., 1 1/2 mtr. materyi na bluzkę, koronkowy żabot.

№ 16. Przykrycie tacy, zdobne wyszyciem.

(Krój i deseń pierw. str. tabl Fig. 57—58).

Do dna głębokiej, drewnianej tacy dopasować dokładnie kawał grubego, tak zwanego gdańskiego płótna, pozostawiając



Szkiec a  
do ryc. 2.

№ 19. Paltot dla chłopca od 13—15 lat.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 128—131).

Przy dobrej umiejętności szycia, a zwłaszcza sporządzania kołnierza i kieszeni, łatwo w domu wykonać można z niezbyt grubego, jesiennego materyału paltot i dla starszego chłopczyka. Na paltot dobrze jest użyć materyału niezbyt grubego, ciemno szary, dropiaty. Na dwa rzędy rogowych guzików zapięty, wykończony po męzku, z kołnierzem wyszitym czarnym aksamitem. Boki opatrzone kieszonkami. Paltot może być wykończony bez podszewki, z przodami podłożonymi szeroko materyałem i ze szwami, lamowanymi półjedwabną tasiemką, albo, co zawsze nierównie lepiej wygląda, na lekkiej półjedwabnej podszewce.

№ 20. Spódnica z plisowanemi falbankami dla starszej osoby.

(Krój odw. str. tabl. Fig. 114—118).

Praktyczną halkę z jasnej alpagi przybierają trzy plisowane falbanki, naszyte na kolistej falbanie z materyału. Falbanki gęsto w maszynie plisowane z pozostawieniem bez plisowania, 2 ctm. szer. brzeg, naszytego dwa razy wążką aksamitką.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 34.

№ 1. Lekkie jesiennie okrycie z kaszmiru lub sukna. (Patrz szkic a).

Kostium z modnego wełnianego materyału w paski przybrany pasman-

№ 2. Lekkie jesiennie okrycie z kaszmiru lub sukna. (Patrz szkic a).

w około załamana szerokość na szew. Boki, także dokładnie do tacy dopasowane, sporządzić każdy z osobna z podwójnego płótna. Na wierzchniej stronie wyszyć deseń podług Fig. 58, zeszyć ze stroną spodnią, odwrócić, przestebnować, albo spoić mereszka, załamać równo, starannie i pomiędzy dwie grubości wszyć płótno, dopasowane do dna tacy.

№ 18. Majtki do zreformowanych ubrań dla starszej osoby. (Krój odw. str. tabl. Fig. 132—134).

Ściągnięte przy kolanach na gumowe taśmy majtki z czarnego atlasu, albo materyi surrah, mogą też być sporządzone z półjedwabnego albo z bawełnianego materyału. Zapięte na guziki. lekko sfaldowane do tyłu, wszyte w równy, dobrze dopasowany karczok, zapięty z tyłu na patkę, przeciągnięta przez obrobione dziurki w karczku.



№ 3. Kostium z krótkim kaftanikiem.

materyi. Bluzki obiagiane z materyalu bluzki i ponsowy skorzany pasek z bronzowa klamra dopelniaja calosci.

№ 6. Sukienka dla dziewczynki od 2 — 4 lat.  
(Kroj odw. str. tabl. Fig. 96—102).

Suknia z woalu bialego w niebieska kratke, sporzadzona na podsze-  
ce, zapieta z tyłu. Bluzka zmarszczona pod gladkim karczkiem, wyrzucona  
ponizej stanu, polaczona ze spodniczka 9 ctm. dlug. Spodniczka otacza ukośna  
falbanka 15 ctm. szer., ozdobiona koroneczka i 2 zakladkami 1/4 ctm. szer.  
Falbanka w gorze zmarszczona, z glowka 1 ctm. szer. Rekawek bufiasty, z fal-  
banka ukośna, 6 ctm. szer. oszyta koroneczka i ozdobiona zakladczkami.  
Kolnierzyk z wstawek i plisek 1 ctm. szer., polaczonych mereszka, oszyty ko-  
ronka 8 ctm. szer. 2 1/2 mtr. dlug. Polaczenie bluzki ze spodniczka podkrywa  
15 ctm. szer. 1 3/4 mtr. dlug. ukos z woalu, zlony w podluzne zakladki, oszyty  
naokolo koroneczka i z tyln zlony na kokarde z koncami.

№ 7. Sukienka z bluzka dla dziewczynki od 11—13 lat.  
(Kroj pierw. str. tabl. Fig. 14—22).

Sukienka z niebieskiego szewiotu przybrana naszyciem w patki z bia-  
lej welnianej pletni i swieacemi guziczkami. Spodniczka bez podszewki  
w zastebnowane od gory kontrafalda i plisy. Bluzka marynarska, w okolo  
wyrzucana. Kolnierz i mankiety plocienne, przypinane, i czarny jedwabny kra-  
wat dopelniaja calosci.

№ 8. Bluzka dla panienki od 14—16 lat. (Kroj pier. str. tabl. Fig. 29—33).

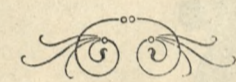
Bluzkę z bialego szewiotu w niebieskie paski, przybieraja: biale i nie-  
bieskie sukno, pazurkowe wyszycie w obu kolorach, niebieska stebnowka  
i złote guziczki. Niebieski jedwabny krawat zlony w zreczny wezel.



№ 8. Bluzka dla panienki od 14—16 lat.  
(Kroj pier. str. tabl. Fig. 29—33).  
№ 9. Bluzka wyszyta ozdobnymi sciegami dla pa-  
nienki od 13—15 lat.  
(Kroj pier. str. tabl. Fig. 29—33).

Obiad na Niedziele.

- |                                     |                               |
|-------------------------------------|-------------------------------|
| Zupa rakowa.                        | Zupa rakowa.                  |
| Karasie smazone z piklami.          | Ozór z grochem pure.          |
| Ozór owedzany z groszkiem zielonym. | Pieczen cielęca z borowka mi. |
| Kalafiori z maslem.                 | Krem cytrynowy.               |
| Perliczki i indyki.                 |                               |
| Salata, kompot.                     |                               |
| Krem cytrynowy.                     |                               |



№ 14. Kostium jeisenry z materyalu w kratke.



Szkic b do ryc. 12. Szkic c do ryc. 13.



№ 6. Sukienka dla dziewczynki od 2—4 lat. (Kroj odw. str. tabl. Fig. 96—102).

№ 7. Sukienka z bluzka dla dziewczynki od 11—13 lat. (Kroj pier. str. tabl. Fig. 14—22).



№ 12. Kostium spacerowy. (Patrz szkic b). Jesienne okrycie z sukna. (Patrz szkic c).

przybrane odpowiednio do calosci plisa z taffetas oraz falbanka z batystu.  
Potrzeba: 7 mtr. welny podw. szer., 1 1/2 mtr. taffetas 50 ctm. szer., 3 1/2 mtr. torsady 2 ctm. szer., 9 mtr. sutaszu, 3/4 mtr. faldowanego batystu, 2 1/2 mtr. wstawki 3 ctm. szer., 3 tuziny guziczekow.

№ 2. Lekkie jesienne okrycie z kaszmiru lub sukna.

Okrycie odpowiednie tez do kostyumu, z modnego materyalu, na jedwabnej podsze-  
wce, przybrany plisami z taffetas. Dwie plisy, szersza i wzsza zdobia dol okrycia i szerokie, otwarte rekawy, wymarszczone w gorze. Wazka pliska z taffetas otacza wykroj szyi i chusteczkowy kolnierz z koncami. Konce 75 ctm. dlug. 25 ctm. szer. w dole przybrane dwa razy naszyta koronka z pliskami z taffetas. Kolnierz lekko zmarszczony z tyłu i na ramionach, oblozony koronka zwegzona przy zepieciu pod klamrami z kwadratow koronki, ujetych w pliski z taffetas. Koronka wy-  
lozona w gorze kolnierza, z tyłu zaszyta w zab, tworzy mały karczek. Plecy okrycia z gladka kryta falda, od gory zastebnowana, tworzy roz-  
dzaj gladkiego karczka. Przody od ramion zalozone w 10 ctm. szer. fal-  
de zastebnowana na 20 ctm. dlug.

Potrzeba: 3 3/4 mtr. welniane go materyalu podw. szer., 1 1/2 mtr. taffetas 40 ctm. szer., 1 1/2 mtr. koronki 7 ctm. szer., 2 mtr. wstawki 7 ctm. szer.

№ 3. Kostium z krótkim kaftanikiem.

Kostium z welniane go materyalu w czarna kratke. Krótki otwar-  
ty kaftanik spiety na piersiach na zatrzaski, dopelnia lekka bluzka lub  
gladki stanik z podszewki z tyłu zapinay, na 12 ctm. od dolu nalozony  
materyalem, ze szmi-  
zetka ze stojacym kol-  
nierzykiem i wyrzuc-  
ona koszulka. Krawat  
czarny jedwany i po-  
pielaty, skorzany pa-  
sek dopelniaja calosci.



№ 11. Kostium spacerowy.

№ 4. Bluzka z welny w kratke.

Bluzka z wodnego materyalu w kratke zielona i granatowa na  
tle czarnem. Przody zlony w dwie zakladki, polaczone z podsze-  
wka, zapinana na dziurki i guziki. Zapięcie bluzki kryte pod kontrafal-  
da 4 ctm. szer. zachodzaca az na karczek. Karczek ukośny z zęby,  
nastebnowany na przodach. Plecy gladkie zdobi srodkiem kontrafalda,  
7 ctm. szer. gladko zastebnowana. Plecy przedluzone za stan, przy-  
ly krótkie, uje w pasek, zaopatrzone dziurkami dla przypinania do  
spodnic. Rekaw rozszerzony w gorze z malym skośnym mankieciem.  
Bluzka przy szyi ujeta w wazki paseczek do przypinania kolnierzykow.  
Podany na rycinie plocienny kolnierzyk zaszyty na 5 zakladczek  
w gorze, zaopatrzone w dole dziurkami dzierganymi dla przewleczenia  
krawata, zlony na marynarski wezel.  
Potrzeba: 2 mtr. welny podw. szer.

№ 5. Bluzka z flaneli w paski.  
(Kroj odw. str. tabl. Fig. 78—86).

Bluzka na podsze-  
wce z szaro zielonawej flaneli w ponsowe  
paski szersze i w bardzo wazutkie czarne. Patki na ramionach i dol  
szerokich rekawow zaszytych w falde zdobia pliski z ponsowej ma-  
teryi. Bialy, pikowy, haftowany kolnierzyk zakoncza wezel z ponsowej



№ 4. Bluzka z welny w kratke.  
№ 5. Bluzka z flaneli w paski.  
(Kroj odw. str. tabl. Fig. 78—86).

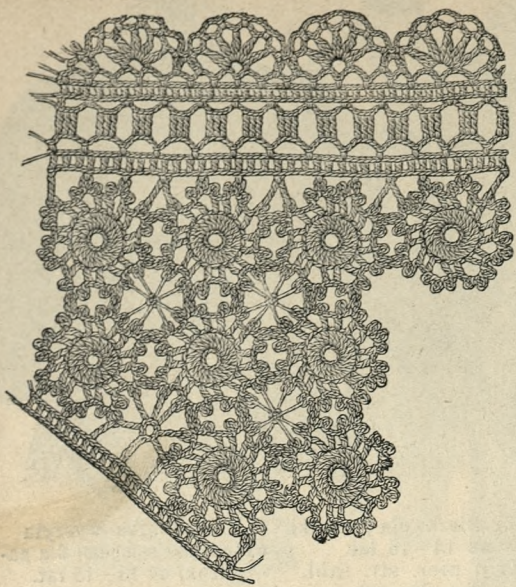
teryjna pletnia, plisami z taffetas w kolorze rezedowym  
i swieacemi guziczkami. Plisy otacza sutasz bialy  
z czarym. Spodnica gladka na biodrach, zapinana z le-  
wego przodu, ulozonego w dwie kontrafalda zastebno-  
wane do kolan. Na zakonczenie stebnowania, plisy  
z taffetas otoczone sutaszem i ozdobione guziczkami.  
Tył zlony w dwie ku sobie idące falde. Dol sukni  
przybrany dwiema, w odstę-  
pach naszytymi plisami. Sta-  
niczek na podsze-  
wce, kryto zapinany z przodu, ulozony  
w draperyjne falde, na ramionach zaszyty w drobne za-  
kladki, zdobia plisy z taffetas z pod których nalezy  
wyciac materyal ulozony w zakladki. Wykroj szyi otacza  
plisa z taffetas w rodzaju wazki wylogow a z przodu  
otwarcie stanika, zdobi pasmanteryjna pletnia z czarnych  
i bialych nitok w kratke i guziczki. Pasek bawetowy z taffe-  
tas z tyłu zapinany, trzy razy naszyty pletnia i drobne-  
mi guziczkami. Staniczek dopelnia koszulka batystowa  
biala w drobne zakladki i wstawki, ze stojacym kolnie-  
rzykiem z tyłu zapinany. Kolnierzyk z batystu, wsta-  
wek i pletni, zdobi w dole taffetas. Bufiaste podluzne  
rekawy zmarszczone przy lok-in w rodzaj mankieta,



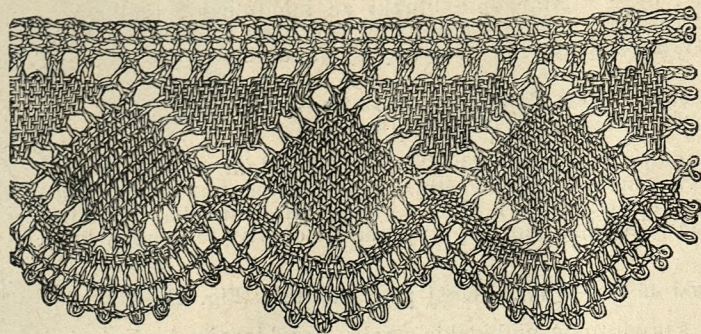
№ 10. Domowa suknia zreformowanym krojem.



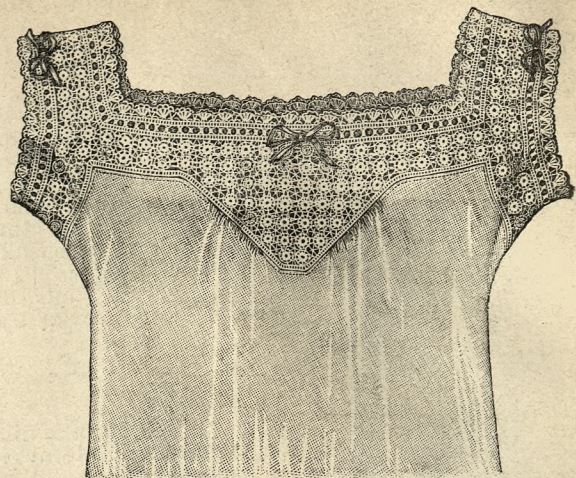
№ 15. Strojna toaleta dla starszej osoby, na srebrno  
wesela, koncerty, zebrania i t. p.



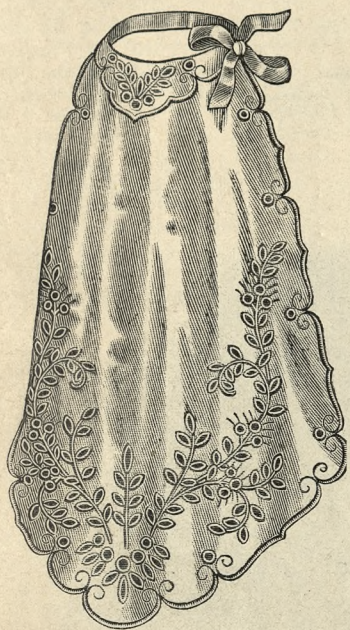
№ 16. Część karczka robotą szydelkową do ryc. 18. (2/3 wielkości oryginalnej).



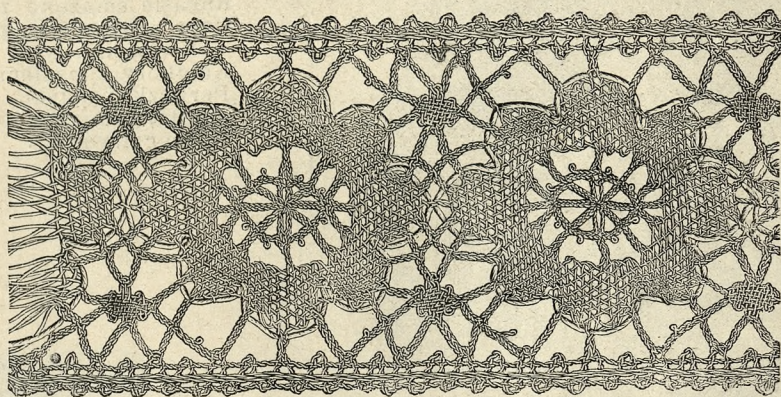
№ 17. Koronka klockowa. (Wzór pierw. str. tabl. Fig. 63).



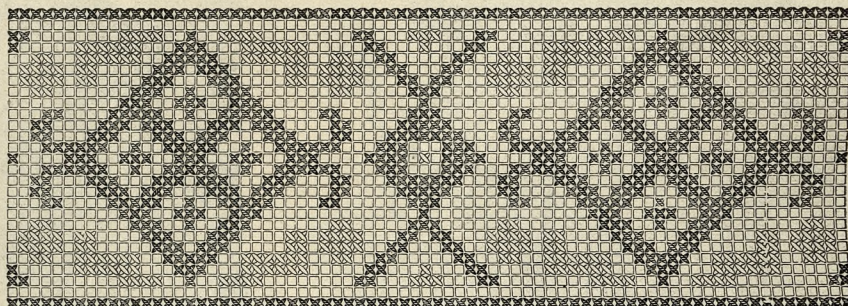
№ 18. Karczek robotą szydelkową do koszuli dziennej (patrz ryc. 16).



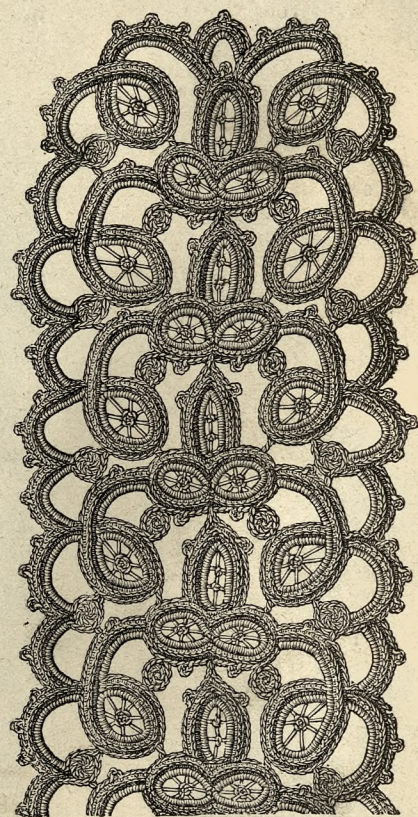
№ 20. Fartuszek płócenny, ozdobiony atłasowym, angielskim haftem. (Wzór odw. str. tabl. fig. 137—139).



№ 19. Wstawka robotą klockową, naśladowąca gipiurę.



№ 21. Wyszycie krzyżkową robotą do ryc. 25.



№ 22. Pasmanterya robotą szydelkową do serwet, bluzek i t. d.



№ 23. Poduszka na poręcz od krzesła, ozdobiona haftem i frenzlą (patrz ryc. 26). Wzór pierw. str. tabl. Fig. 61.



№ 24 i 25. Fartuszki zdobne krzyżkowem wyszyciem dla dziewczynki od 4—7 lat (patrz ryc. 21).



№ 26. Część frenzli do ryc. 23 (połowa oryg. wielkości).